

Waldemar Okoń

Max z drugiej strony ulicy

*Tak żyj, żeby poczuli twoją obecność po śmierci.
Żywi najobficiej żyją po śmierci. Trupy – za życia.*

Jan Zbigniew Słowicki

Wrocław 2015

Nie pamiętam, kiedy Max przyszedł do mnie pierwszy raz. Mówił coś o pierwszym zdaniu, o obawie zakrywającej oczy silnym gestem niewidzialnej materii, o płaszczu uszytym przez niewidomych krawców. Tak powinna się zaczynać każda opowieść. Niewiadomą, niepokojem ulotnych słów i nie pamiętam, czy zapytałem go o to dziwne nazwisko, o podobieństwo do brodatego człowieka, który w dniach mojego dzieciństwa wyglądał z ulicznych straganów, był sprzedawany za grosze pod postacią dużych czerwonych lizaków, które lizaliśmy namiętnie, nie bacząc na krwisty barwnik zalewający nam usta i oczy. Max to Max i zwracam uwagę na literę „x” obecną i nieobecną w polskim alfabecie, powiedział, wskazując na różne możliwości płynące z użycia takiego, a nie innego słowa, na obecność nowego języka, który pojawił się wraz z nową władzą, której istoty do końca nie rozumieliśmy, a która przenikała nasze ciała pomnikami porastającymi szybko warstwą zielonych glonów z małą białą-czerwoną flagą na wierzchu.

Max był dobrym człowiekiem, dzielił się ze mną ostatnią zapałką i szklanką cukru, mówił o wszechświatowej rewolucji, opowiadał o tajemnicy uzyskiwania zimą gorącego śniegu i o dialektyce – matce wyzwolonych nauk. Wiedział wszystko, znał przeszłość i przyszłość, trochę gorzej szło mu z teraźniejszością, ale uważał, że w sztuce najbardziej potrzebna jest ludziom cisza, a ich sercom nadzieja. Pamiętam, jak wymawiał to słowo: „nadzieja”, pamiętam, jak trwał ponad słuchaczami ubranymi w kufajki i gumofilce, jak przypatrywał się moim niewinnym zabawom, kiedy musztrowałem drewnianych strażaków i rozpruwałem wnętrzości kudłatego misia. Wyrażał wtedy sobą pewność iluzji, wspominał o niepewności ziemskich miłości, o fascynacji kolejnymi rocznicami i pochodami przechodzącymi tuż pod naszym oknem. Fascynował się niewidzialnym życiem pierwotniaków i budową komórki, która potrafiła przeżyć w najtrudniejszych okolicznościach. Wiedział, że w każdej kałuży mogą się odbić ślady, które po tysiącach lat będą świadczyły o naszej tutaj obecności. To ważne, zostawić po sobie ślad, utrwalić coś, nawet nieobecność.

Lubiłem go, jeżeli to coś jeszcze dzisiaj może znaczyć, chociaż był wyższy ode mnie i nosił długą brodę. Byliśmy sobie potrzebni, on nie istniał beze mnie, ja bez niego, razem kopaliśmy puszki po piwie na naszej ulicy i razem ustawiali kamienie milowe na rogatkach naszego miasta. Towarzyszyły nam nieustannie stan samouwielbienia oraz delikatna skłonność do samogwałtu w myśl zasady głoszącej, że jeżeli mamy kogoś kochać, to najlepiej osobę inteligentną, delikatną i wyróżniającą się w tłumie. Nie cierpieliśmy, na szczęście, już głodu i chłodu jak dawni rewolucjoniści, nasze barykady wprawdzie nadal stały na trotuarach, ale obok można już było przejechać własną Simcą albo dolnozaworową Warszawą. Tego roku byliśmy bliscy ekstazy wywołanej kolejnymi zjazdami partii, pochodami różowych małpek, które niosły w łapach chorągiewki z aktualnymi hasłami, natchnieniami młodości i oryginalnymi do znudzenia pomysłami, co zrobić z naszym życiem przed i pozagrobowym. Jak zawsze, słuchaliśmy pilnie ostatnich wiadomości, wśród których wybijały się informacje o mięsie sprzedawanym spod lady przez spekulantów oraz o pewnym panu, który zamuroвывwał swoje kochanki pod podłogą garażu. Interesująca była też historia syna pewnego dostojnika, który zniknął nagle i w radiu nieustannie nadawano głos porywacza domagającego się okupu. Poza tym, nie było źle. Śpiewaliśmy pieśni o Polsce Ludowej, będącej jawą nie snem, o walce klasowej oraz o tym, że takie jest życie psia mać ochrypnięci i na cały regulator do mikrofonu na szczęście odłączonego od sieci rozlicznych uwarunkowań społecznych i politycznych.

Max wskazywał mi drogę, mówiąc, że na początku przejdę przez niego, przez jego życie jak przez labirynt goryczy naniesionej na skomplikowane nawet dla specjalistów mapy, przeniknę jego gołębie serce, które chce dobrze dla całej ludzkości, przejrzę myśli pokrętne i jednocześnie proste, by nikt nie posądził nas o zdradę najwyższych ideałów. Później wyczyścimy ściany z tynków do gołej cegły położonej tu niegdyś przez niemieckich murarzy budujących niemiecki dom według obcych nam planów. Tak będzie najlepiej dla nas i dla nich. Niech zginą i przepadną pod warstwą nowych napisów i nowych czasów. Będziemy tworzyć nową mitologię, przy zachowaniu szacunku dla starej. W naszym systemie będzie miejsce dla Centaurów i dla traktorów, które zaorzą wiosnę. Max, będąc filozofem mistycznym, pozawalał sobie niekiedy na odrobinę fantazji. Opowiadał o Minotaurze, o jego seksualnych potrzebach, o drzewach pełnych sytych owoców i o korzeniach tych drzew dotykających twardego gruntu wnętrza Ziemi, o uniesieniach doznawanych pomiędzy wargami kobiet mieszkających w nowej Arkadii delikatnie i mimowolnie, znał wiele sposobów pomijanych dotąd w literaturze i mówiących o tym, jak uszczęśliwić pracownice nowych fabryk, wręczając im kwiaty o barwie płomienia i nylonowe rajstopy, projektował budowę wielkich zapór na rzekach dzieciństwa, organy największe na świecie i tunele przechodzące na drugą stronę uduchowionej materii.

Radził mi, abym został tam na zawsze, stał się Rybą i Aniołem, Lwem i Strzelcem jednocześnie. Twój zodiak powinien być na miarę naszych czasów, mówił, walczmy o zwycięstwo wyobraźni przenoszącej kroplę ponad morze, morze ponad ocean, ocean ponad wszechświat, który uporządkowano dawno temu, a który właściwie sam się uporządkował, był swoją siłą sprawczą i ostatecznym celem wszelkiego działania. Popatrz, jak wszystko tam jest piękne, i wiedz, że kiedyś człowiek dotrze do tych rejonów, posiadzie czas i przestrzeń, zrzuci łuski z wyblakłych od prymitywnej roboty oczu. Założymy różowe okulary, zważymy nasze ciała na jednej kosmicznej wadze, kołysząc się coraz bardziej niebezpiecznie, aż ktoś zawoła: zatrzymajcie się na Boga, chociaż Bóg umarł dawno temu, zatrzymajcie, inaczej uderzycie głowami o suche konary pozostawione tu przez tych, którzy wątpią we wszelkie ideologie, maluczkich, nieuświadomionych, tych którzy nie czytali ostatnich wiadomości, analfabetów patrzących pod światło na zadrukowane stronicie. Nie rozbijajmy krzemienia o drewno, nie pozwólmy, aby ciemnota i zabobony zwyciężyły jeszcze raz naszą wspólną sprawę. Staniemy się wtedy bardziej wyraźni, nasze kontury zaświecą pośród innych konturów, nasz globusy będą większe od innych globusów, opanujemy cały świat i okolice, zbudujemy wszędzie przejścia dla pieszych, ponieważ na samochody nas nie stać, nasze pokolenie będzie przypominało dobre czerwone wino, które wprawdzie musi przez jakiś czas fermentować, ale na pewno nigdy nie zwietrzeje.

Max jak zwykle przesadzał, mówiąc o poezji społecznej i o prozie życia. Myliły mu się pojęcia, ponieważ starał się dostosować prymitywne poglądy do swojej skomplikowanej psychiki, która nie pasowała do aktualnych trendów i politycznych wskazań. W gruncie rzeczy nie interesowała go polityka, pragnął jedynie zanurzyć się w odmętach dymu z aloesu, zamienić w nieodgadnione przedmioty na podobieństwo królewicza, który miał już dosyć nadmiernie natrętej królowej. Jego metamorfozy były wprawdzie niezbyt doskonałe, ale potrafił na przykład przeistoczyć się z kamienia w ptaka, z ptaka w żebraczkę, z żebraczki w górniką pracującego na przodku i w kobietę pracującą drugą stroną przodka. Bawiły go nadal nieprzetłumaczalne gry słów, kalambury, wieloznaczność określeń i skreślenia dokonywane przez wszechobecnego cenzora. Wiedział, że najłatwiej jest odnaleźć się na

starych fotografiach, pośród wypomadowanych czterdziestoletnich staruszków i pluszowych kotar. Kochał nadmiernie wystrojone i ozdobne lalki prababek, marmurowe blaty starych cukierni, ponieważ tak na prawdę należał do dziewiętnastego wieku i najchętniej ukryłby się pośród zielonego, nieruchomego bluszczu ostatniej miejskiej pergoli. W naszych czasach zapomniano przyciąć bluszcz przy korzeniach, ponieważ dawni ogrodnicy umarli w czasie wojny powołani na front wschodni, a na wschodzie ta sztuka nie była jeszcze znana i dopiero Max chciał odtworzyć dym snujący się tuż przy ziemi, wspinając się na palce i patrząc jak spoza drzew wybiegają konie zaprzężone w małe powoziki kłusujące wokół okrągłego stawu jak stado jaskółek, z przyczepionymi do szyi kotylionami i torbami pełnymi życzeń świątecznych fil dank, grus i tak dalej, nie potrafił do końca tego odczytać, wiedział, jedynie, że aby tam się dostać, musi mieć zaproszenie okazywane u wejścia brodatym portierom, którzy po pracy chętnie napiliby się z nim piwa toczonego z dębowych beczek, stojących na podjeździe i nagle fanfary, werble, spizowy dźwięk przypominający uderzenia w metalowe brzuchy wielkich orkiestr, z nieodłącznymi w tyle dziećmi, z niańkami, które mają wolne i zalecają się do przystojnych pompierów, z których niektórzy są na bakier z prawem, jak to pompierzy, jak to przy ogniu, który jest tak gorący i czasami może nawet osmolić wąsy bujne i zadbane, a ty nie wiesz, jaka jest twoja rola w tej sytuacji nierealnej i dziejącej się jednocześnie. Może powinieneś ukryć się w chryzantemie przypiętej do czyjegós surduta albo w doniczce zrzuconej przypadkowo z czwartego piętra czynszowej kamienicy, gdzie mieszkasz od lat nie płacąc czynszu kamienicznikom tylko miejscowej Administracji i pani Zosi, która ma duży biust i codziennie rano maluje oczy na niebiesko. Na dole jest rzeźnik wycierający sobie ręce o skórzany fartuch, zostawiony tu przez dawnych mieszkańców, a za oknem brudna firanka poruszana niekiedy przez wiatr i wypełniana kształtami zabitych tu niegdyś zwierząt, ale jest teraz przerwa obiadowa i nikt nie dba już o czystość sklepu i tak się wszystko sprzedaje, nawet zapakowane w gazetę, w której proletariusze łączą się i łączą, i nie mogą się do końca połączyć.

Możemy rozpocząć inaczej, od zmiętej bibuły wyciągniętej ze śmietnika, która położona na ławce pod głową pomaga przetrwać ciężkie czasy. Obok ławek stoją wózki z wyżem demograficznym, radosną twórczością naszych rodziców wyzwolonych od cierpień i strachu o jutro pomimo żelaznej kurtyny, słyszymy witaj jasny dniu, jutrenko swobody, pocieszycielko strapionych, ucieczko grzesznych, nieustanne litanie, modlitwy na klęczkach, kiedy trącamy nosem buty klęczących przed nami ludzi i robi się nam niedobrze, ten tłum pobożny, a my świeccy, miało przecież wszystko wirować, przelatywać ponad naszymi głowami jak duch święty albo gorejące płomienie, a tu wokoło nieprzejrzyste twarze, usta powtarzające niezrozumiałe słowa, za dużo tego jest jak na moje młode lata, na szczęście nie jestem już dzieckiem wojny i wolę patrzeć na dawne hrabiny, które teraz sprzedają w sklepie z warzywami, zdegradowane, ale jednak dawna klasa i rasa, buczki wyłożone safianem, w uszach kropelki z rodzinnego srebra, wokoło szyi lisy szczęśliwe i syte dzięki dobrej śmierci, a w szklanych gablotkach zasuszone listy i liście z podpisami po łacinie jak w zielniku i brak marchewki, ale będzie, mamy kurczaki prosto ze wsi, wachlarze z wyliniałymi piórami, damy mojego serca.

Myślałem o klasycznej wędrowce pary wagabundów, o snopach siana złożonych wzdłuż drogi, lecz zabrakło drogowskazów, nie było blachy i farby, a po wojnie część rzemieślników wyginęła i musieliśmy się zadowolić naszą wątlą wyobraźnią rozłożoną na dwa istnienia, balonami ze świeżym powietrzem podgrzewanym stosami książek z dzielnicowej i szkolnej biblioteki. Nie powinieneś tyle czytać. Max miał lepiej. W jego czasach nie

było nawet połowy tego co teraz, mógł opanować całość ludzkiej wiedzy i przetrwać ją we właściwy sobie, systematyczny sposób. Mógł w pewnym momencie odpocząć od codziennych informacji, od natłoku wydarzeń, pamięci o zabitych przedwcześnie, o ich nagłej i niespodziewanej śmierci. Mógł patrzeć, jak mija lato spłukane wieloma deszczami i przychodzi sucha jesień wysypująca z naszych kieszeni resztki pieniędzy zarobionych w letnie dni. Zналиśmy ten ból obaj od dawna. Bieda, jak nam mówiono, powinna niedługo się skończyć. Jeszcze jedna huta lub kopalnia i będzie koniec biedowania, będziemy żyć godnie i z pełną świadomością, że wszystko zawdzięczamy sobie i pracy własnych rąk. Nie było łatwo, bo praca rąk nie bardzo nas interesowała, woleliśmy patrzeć, jak wysychają ostatnie źródła, jak uderzają w naszą planetę ostatnie komety. Stawialiśmy sobie zadania na najbliższe popołudnie. Napisz o pogodzeniu z suszą. W naszym klimacie nie jest to trudne. Wystarczy wyobrazić sobie popękane ziarna soli. Można to oczywiście wzmocnić. Zobacz krajobrazy ucieczki z obozów pracy, suchary rozkrojone na strzępach żołnierskiego munduru, krwawiące dziąsła, pełzanie po powtórnie zrzuconej skórze węża, portrety Wielkiego Wodza ułożone w szczelinach skał, mdłości spowodowane pierwszym wylewem krwi do mózgu po uderzeniu drewnianą pałką, opowieść o zawiłościach języka i o związanej z tym nauce zanurzonej w wodospadzie płynącym przez siedem kamieniołomów i siedem kopalni wschodniego złota.

Wystarczy, przerywał Max, tego nie przewidziałem, wróćmy do domu, zobaczymy, czy nasze słowa zdołają zatrzymać ołowiane chmury zgromadzone ponad nami, czy nasze miasto jeszcze istnieje. Może odlecimy, mówić i odlatywaliśmy pośpiesznie, wbijając sobie w czaszkę srebrne igły, które najpiękniej wyglądały na tle czerwonej flagi rozwieszanej nad złotą bramą nowego miasta nadziei. Wokół nich powstawały ulice zamieszkałe przez ludzi, którzy nigdy nie widzieli deszczu, a koła wozów dyskretnie opalizowały podczas podjazdu na najwyższą górę. Drapieżne zwierzęta, którym szczęśliwie wyrwano kły i pazury, poruszały się miękkimi ruchami kotów fosforyzujących w metalicznych oprawach, a historia pewnej rodziny ludzkiej nabrzmiewała tuż obok nas, przy ostrzu jednej ze szpilek, aż musiałem wyciągnąć na chwilę ostrze i wbić je w skórę nieco dalej, aby nabrzmienie znikło samoistnie, ponieważ w sposób dialektyczny usunąłem jego przyczynę, a przez to samo i skutki uległy złagodzeniu. Rodzina ta dziękuje nam do dzisiaj za ten skuteczny i zarazem delikatny zabieg na żywej tkance, przysyłając co roku nowego potomka, któremu udzielamy świeckiego chrztu, przywiązując mu do rączek w czasie tego obrzędu koszyczek wypełniony dojrzałymi granatami. Max uwielbiał przymiotniki takie, jak „dojrzały” albo „skuteczny”, mówił, że zawarta jest w nich niezwykle dynamiczna siła sprawcza, o której ludzie nie mają jeszcze zielonego pojęcia. Używał też niekiedy kolokwializmów, chcąc wpłynąć na dzieje ludzkości, które są w dużym stopniu, jak twierdził, kolokwialne i brutalne z zasady, a potomków przysyłanych nam wraz z koszyczkiem wysadzał w powietrze, pragnąc udowodnić, że siła ciężenia ziemskiego ma jednak swoje ograniczenia. Nasze usilne i codzienne drażnienie w czerwieni pomagało nam wielokrotnie przetrwać najtrudniejsze dni i dostarczało skromnego pokarmu obfitującego w domysły co do niepewnej przyszłości i fragmenty natchnionych, świętokradczych słów. Naszemu miastu jednak to zupełnie nie przeszkadzało. Pociągaliśmy w nim za urojone sznurki i wszelkie sprawy były dzięki temu od razu spokojnie i do końca rozwiązywane. Najważniejsze były wybory do rad delegatów, skupiliśmy się na tym, aby mieć większość we władzach, nie mówiąc już o możliwości przekazania wszystkim naszej wyjątkowej w swej istocie ideologii. Potrzebni byli złotouści mówcy i proste sprzątaczkę lub kucharki, którym w ostateczności mogliśmy powierzyć funkcje szefów rządu. Konieczny był również kat, ale z kandydatami na to stanowisko nigdy nie było najmniejszych kłopotów. Max niekiedy podejmował się najtrudniejszych spraw w miejscowym są-

dzie i ku zdumieniu wszystkich zawsze wygrywał. Mówił, że myśl swobodna nie zna granic ni kordonów, podobnie jak ta wysokiego lotu, dodając, że najpiękniejsze bagna kwitną raz na sto lat. Notowałem pilnie jego uwagi, chociaż ta ostatnia nie była dla mnie tak do końca całkowicie zrozumiała. Tak to jednak jest z filozofami i musimy się z tym niestety pogodzić. Gdyby filozofię wszyscy rozumieli, nie byłaby ona filozofią, podobnie jak poezja poezją i polityka polityką. Bagno, o którym wspominał Max, jednak istniało naprawdę i niekiedy wyciągaliśmy go z niego umorusanego, ale niezwykle szczęśliwego, ponieważ dzięki niemu zyskiwał lepszy kontakt z materią nieożywioną lub ożywioną tylko częściowo. Pił później z przedstawicielami komisariatu i lokalnym proboszczem, twierdząc, że materializm materializmem, ale lepiej jest się zabezpieczyć na wszystkie strony.

W miejscowej dzielnicy cudów było sporo cudownych dzieci. Wybieraliśmy spośród nich jedno i następnie stukali w drewniany stół. Głuchy odgłos niósł się daleko, a cudowne dziecko recytowało odpowiednie wersety dzieł zebranych Maxa, niekiedy napomniane przez niego przy pomocy sześciostrzałowego rewolweru. Bilety na te spektakle nie były tanie, a mimo to mieliśmy zawsze sporo widzów spragnionych świeżych idei i ostatnich wiadomości. Później rozpędzaliśmy tłum przy pomocy mniej cudownych dzieci wywodzących się z okolicznych nizin. Jako rasowy immoralista Max jednocześnie cudzołożył i zachowywał szóste Przykazanie Pańskie. Dawało to doskonałe rezultaty, gdyż sądzono, że jest jednocześnie libertynem i prawym chrześcijaninem z lekkim wskazaniem na judaizm. Popularyzowaliśmy również pokojowe współistnienie, a dzięki zaangażowaniu w sprawę niektórych mieszkańców stoły na rynku zawsze ugięły się pod smakowitymi potrawami. Mogłem też spokojnie, jako artysta nowoczesny, wymyślać przedmięcia, dysponując jedynie płótnem i resztkami starych farb. Powstawały w ten sposób obrazy, których nikt nie chciał kupować, a na wernisażu przychodziło niewiele osób zwabionych jedynie tanim piwem i kromkami chleba ze smalcem. Po wernisażu spacerowaliśmy po niespokojnych i nieokreślonych ostatecznie głównych ulicach, przyglądając się napiętym do granic wytrzymałości gzymsom i stalowym ramom, które nadawały całości pozory stabilnego trwania w rozległej przestrzeni. Z okien słychać było gwar kłótni małżeńskich i porykiwanie domowych zwierząt trzymanyh w wannach, błyskały flesze aparatów upamiętniając przejazd pierwszego tramwaju i kupno pierwszego własnego łóżka przez żonę dozorczy z parteru. Pisarze realiści notowali wszystko pilnie, pisarze surrealiści nie notowali, ponieważ zbierali się do snu, który zawsze przynosił im artystyczne natchnienie. Obawialiśmy się z Maxem, że może dojść do rozruchów ludności nadmiernie przygniecionej ciężarem stalowych ram i codziennych obowiązków, jednak nic złego się na szczęście nie wydarzyło, ponieważ życie było formą istnienia białka, a szatan został schwytyany w sieć ludowych przypowieści i powiastek drukowanych w dużych nakładach w popularnych wydawnictwach.

To na razie wystarczy, pomyślałem, dajmy już spokój miastu, nie będziemy go dalej budować ani doskonalić, gdyż najważniejsza w życiu jest przecież sztuka wysoka i jej teraz powinniśmy poświęcić wszystkie nasze siły i zdolności. Tym bardziej że straty zakładałem od początku, od dnia, w którym zająłem się literaturą i Maxem nieustannie znikającym w zaroślach kruczoczarnej brody albo pod kapeluszem z dużym rondem, które zasłaniało, jak u Rembrandta, jego wyraziste oczy. Kochałem bowiem malarzy i balety Piotra Czajkowskiego z baletniczkami tańczącymi nad tajemniczym jeziorem, nie stroniłem jednak również od sztuki użytkowej, pamiętając o czasach dzieciństwa, kiedy bawiłem się wydobytymi z ruin cegłami, na których pozostały ślady dawnych tynków i napisów wykonanych przez pracowite ręce niegdysiejszych mieszkańców. Praca czyni bowiem wolnym i uszlachetnia, jak twierdzą niektórzy filozofowie tego dziwnego narodu, który był tu przed nami, a teraz jakby przepadł, zamarzył na

mrozie, schował się pod ziemię. Dyskutowaliśmy też sporo nie tylko o historii, ale również o teorii *mimesis*, czyli o wchłanianiu rzeczywistości poprzez odpowiednie otwory, które mamy w naszym ciele i którymi dobry Bóg obdarzył wszystkich po równo, chłopców i dziewczynki, kobiety i mężczyzn w co się wręcz nie chce wierzyć, ponieważ w innych dziedzinach naszej cielesności istnieje jednak pewna nierównomierność i, co tu mówić, dyskryminacja. Max wchłaniał wszystko szczególnie dobrze i wytrwale, ponieważ był realistą krytycznym, a tacy nie bardzo mogą marudzić podczas tego procesu i wybrzydzać na rzeczy, które akurat wpadają poprzez dziewięć szczelin do ich rozległego wnętrza. Pozostawiał sobie jednak na koniec wskazujący palec u lewej ręki, ponieważ przydawał się on podczas niektórych dyskusji filozoficznych, jak również, odpowiednio pośliniony, pokazywał skąd wieje wiatr i dokąd przetaczają się dziejowe burze i huragany. Wskazywał też najbliższy spokojny port, w którym przechowywano zapasy na zimę oraz tajemne księgi poświęcone różnym postaciom świętości odkrywanej stopniowo przez niego w najbardziej nieożywionej i zdegradowanej materii.

Nieopodal była szklana góra, na którą mój przyjaciel czasami się wdrapywał, aby nie stracić resztek fizycznej kondycji i robił to w sposób dosyć zabawny, ponieważ wtedy chodził na kolanach, a klęczał na stojąco, aby w ten sposób zjednać sobie Najniższych i zrazić ostatecznie Najwyższego. Nie chwalił się tym jednak nadmiernie, jako człowiek skromny, który z byle gównem nigdy nie wyskoczy. Dyskutowaliśmy też wtedy o istocie czasu, o możliwości schwywania strzały, która stoi w miejscu oraz o wózku inwalidzkim, który miałem w spadku po mojej prababce i który wystarczyło przesunąć o kilka centymetrów, a czas się zatrzymywał w poprzednim miejscu pobytu wózka i czekał jak wierny pies na nasze dalsze decyzje. Tak poznawaliśmy potęgę słowa, przyczyny i skutki, myśl połączoną z czynem, czyn z przypadkowym hałasem na ulicy, hałas z drżeniem rąk u znajomego paralityka. Wiedzieliśmy też, że niedaleko nas musi być jakaś barykada, na której warto będzie walczyć przy pomocy ognia i żelaza, bowiem prawdziwy rewolucjonista bez barykady nie wyobraża sobie własnej, codziennej egzystencji. Wtaczałem na nią Maxa na wózku prababki, sam trzymając w ręku lancę szwoleżera i małą chorągiewkę pomny naszej historii i brzmienia nowych już czasów. Miałem też przy sobie siatkę na motyle, gdyż zauważyłem, że ulotne piękno jest w stanie rozbroić najbardziej zaciekle i okrutnych wrogów naszej sprawy. Rozbroiliśmy w ten sposób wszystkich, co nieco zdziwiło miejscowych pacyfistów przekonanych, że zginieemy i że ich będzie za grobem zwycięstwo. Nasza nieśmiałość unosiła się nad barykadą jak motyl bielinek kapustnik, którego kiedyś zabiłem z procy na podwórku, podobnie jak wiele lat wcześniej z węzem wodnym uczynił pewien wybitny poeta skazany później przez Pana za ten czyn na wieczne potępienie. Motyl to nie wąż, ale wiedziałem, że i tak czyścic mnie nie minie, dlatego postanowiłem wrócić do domu i trochę się zdrzemnąć przed ewentualną wyprawą do otchłani. Max pocieszał mnie mówiąc, że ta wojna tak naprawdę nie istnieje i jest tylko wytworem naszej imaginacji, ludzie są dobrzy, pracowici, szlachetni, czynią wiele dobrego bliźnim i wystarczy się położyć do łóżka i znikną pola poryte okopami wrogiej armii, pochody bohaterów i przegranych wojsk, a my rozpoczniemy kolejne piękne lato balladą o wietrze, który potrafi odpowiedzieć na wszystkie nasze pytania.

Wieść o nim rozeszła się już po całym świecie, podobnie jak wiara w uzdrawiającą moc kul, które toczono pomiędzy palcami przynoszą nam wyzwolenie od wszelkich chorób i dużo uzdrawiającego świętego spokoju. Są krągłe i nieśmiertelne, mówił Max, zamykają się wokół naszych rąk metalowym pierścieniem, tworząc warstwę ochronną przypominającą złoty kluczyk wrzucony niegdyś do morza przez dobrą wróżkę. To wtedy przychodzi

wieść o nowych narodzinach, o kołysce wyciętej z matusinej piosenki, o iskierce skazanej na nieustanne znikanie, o Molochu pożerającym niegrzeczne dzieci. Oni nigdy nie istnieli Max, paż, zamek, król siwobrody, nawet Moloch. Istniała tylko opowieść o nich, o możliwościach wyboru, w sytuacji, w której wyboru nie mamy. Jak chciałbyś się urodzić? Razem z pianą czy razem z płetwą rekina, pomiędzy obłokami, pomiędzy igliwem, w mufce zapomnianej po balu, pod latarnią, pod dachami Paryża, z pyłku kwiatów, z rozsądku, w zastrzelonej na froncie wschodnim kłaczy, chyba tam, z bólu i trwogi, by móc przynieść ludziom dobrą nowinę. Ludziom niepotrzebna jest już twoja dobra nowina Max, mają swoją, całkiem przyzwoitą, wolą słuchać opowieści o miłości, nie lubią abstrakcji, ponieważ zmusza do myślenia. Raczej do patrzenia, uważnie poprzez płótno i poprzez materię, jak w scenach, w których biorą udział żywe kryształy wykonujące skomplikowane figury poruszane własną doskonałością.

Wieczne śniegi zamieniały się w popielniczkę lub wazon ofiarny wręczane na pamiątkę najdłuższych dokonań miłosnych. Max potrafił niekiedy kupić wszystkie dostępne w handlu kryształowe zwierzątka, a następnie potłuc je uderzając o diamentowe spinki miejscowego rapera. Szliśmy bowiem z postępem w sztuce, próbując dostosować się do nowych trendów i najnowszych tendencji. Zwierzątka, choć martwe z natury, stawiały bierny opór, którego nikt się nie spodziewał i nie wiedzieliśmy jak włączyć je do procesów dialektycznych. Na szczęście raper radził sobie z nimi doskonale, wspominając o dawnych romantykach i o plugawej lawie zalewającej narody. Max szczęśliwie nigdy nie wypowiadał się o szale i o natchnieniu, niepokoiły go jedynie ogromne reklamy zdobiące ściany wielkich domów towarowych. Miał wtedy ochotę dać się ponieść rumakom biało-grzywym reklamującym najnowszy wzór grzebieni lub boskim hurysom zachwalającym rajstopy. Max uwielbiał nowe wynalazki. Za moich czasów, mówił, były tylko barchanowe majtki i zwijające się na kolanach pończochy, które rozwijaliśmy i zwijaliśmy pospiesznie w chwili erotycznego szaleństwa, ale jak je porównać z lekką mgiełką nylonów lub siatkowych stringów. Ważne jest, aby znać kody kulturowe i mieć przy sobie klucze do domu, to jest najważniejsze, klucze, dom, kody, przynależność narodowa. Proletariusze wszystkich krajów też oczywiście są ważni, ale po latach jakbym mniej o nich myślał, podobnie jak o Słowianach, do których należy przyszłość świata i o wydobyciu miodu prosto z dziupli.

Tak ćwiczyliśmy naszą wyobraźnię. Wyobraź sobie, że jesteś w ciemnym pokoju, u wrót doliny, z przepaską na oczach. Jak się stamtąd wydostać, co zrobić w takiej sytuacji. Max zawsze wiedział jak się zachować, chociaż nie zawsze dzielił się ze mną swoją wiedzą. Ja na przykład usiadłbym na podłodze i pomyślał o czymś sympatycznym, a następnie zdał się na los szczęścia i na przypadek. Na pewno uratowałyby mnie w takiej chwili poezja matka wszystkich nauk lub ktoś przechodzący doliną, pomocni ludzie są w takiej sytuacji wprost niezbędni. Na szczęście kolejne zadania były znacznie łatwiejsze, wyobrażaliśmy sobie utratę zmysłu dotyku przy zachowaniu wszystkich innych, zastanawiając się jak wyglądałaby wtedy miłość, a konkretnie seks pozbawiony czucia w palcach i członkach oraz pozostałych miejscach erogennych. Nie byłoby to na pewno przyjemne, ale raczej możliwe. Pewnie zatracilibyśmy się w uczuciu lotu, płynięcia, nieistnienia, osuwania wzdłuż ściany utkanej z powietrza i puchu, kochaniu się na dywanie w komnacie porzuconej przez szept. Max nie był zadowolony z tego obrazu, był dla niego nadmiernie symboliczny i nieprecyzyjny. Nie wynikały z niego też żadne budujące teorie teoriopoznawcze ani nawet wskazówki dla zakochanych jakże popularne w popularnych dziennikach. Teoria teorią, mówił, a praktyka praktyką. Najważniejsza jest ta ostatnia, bez niej nic się nie uda, nawet seks o poranku lub darcie pierza na wiosnę.

Subtelność koncepcji to jedno, a toporna jej realizacja to drugie. Musimy zdać sobie sprawę mój przyjacielu z tego, że historię należy niekiedy wyrąbywać toporem.

Przyjdzie nam otworzyć wszystkie bramy Max, zburzyć mury obronne i wpuścić nieco świeżego powietrza. Może stworzymy coś na kształt masonerii z Wielką Kielnią i Fartuchem Roboczym, może będziemy rozdawali na placach za darmo parówki i nadmuchiwane powietrzem baloniki, może skończymy jak zawsze w czerwonej oberży, gdzieś na przedmieściach. Kto wie, jak naprawdę kończą się wszelkie rewolucje. Wyobraź sobie człowieka doskonale odnajdującego się w nowej sytuacji. Będzie miał żelazny organizm i chmurę na czole, a my będziemy poruszali jego członkami z tytanowej stali. Jego żona będzie dziergała nieskończoną pończochę, którą później podzielimy pomiędzy wszystkie kobiety pracujące miast i wsi. Tak będzie sprawiedliwie, tak zbudujemy nowe społeczeństwo, a następnie roztopimy się w nim pomiędzy wafelkami niesionymi wysoko w górze na rękach szczęśliwych ojców, ponad lodziarzami sprzedającymi lody „Pingwin” w celofanowych papierkach, ponad otwartymi cały dzień księgarniami manifestującymi swą jedność z pochodem i twoimi pismami Max, twoimi zebranymi dziełami.

Księgarnie były różne, niektóre z nich mieściły się w zgrabnych brezentowych budach, inne stały nieco na uboczu, pragnąc podkreślić swą niezależność. Max pochłaniał książki tysiącami i nie mogłem mu w tym pomóc, ponieważ w tym czasie miałem inne sprawy na głowie. Fabuły krążyły w powietrzu, sploty wydarzeń zapętały się na naszych oczach zasłaniając nam cały świat. Widzieliśmy wiele autoryzowanych wywiadów i niespodziewanych zwrotów akcji. Nad wszystkim unosiła się wielka kopuła seksu przypominająca pewną znaną, świętą budowlę. Rzesze estetyw wpatrywały się w nią zapominając najwyraźniej o ważnych problemach społecznych i politycznych. Inni palili opium, jeszcze inni spijali koniaki, które klasa robotnicza powierzyła w chwili trzeźwości swoim najlepszym przedstawicielom we władanie. Energia estetyczna nie mogła przemienić się w masę, prawa fizyki jak zwykle nas zawodziły. Nadmiar przeczytanych stron Max przetapiał na pamiątki z wystawy. Słuchał też w tym czasie utwory swoich ulubionych rosyjskich kompozytorów, zapominając, że pamiątki w czasach nowoczesnych nie są już takie modne, ponieważ przypominają dawne, drobnomieszczańskie zwyczaje, a nam przecież chodziło o coś zupełnie innego. Nadal byliśmy blisko empirii, mogliśmy wszystko sprawdzić doświadczalnie. Jeżeli coś uda się powtórzyć parę razy, to jest prawdziwe, jak tylko raz zabłyśnie na firmamencie, to jest nieprawdziwe.

Max chcąc udowodnić tę błyskotliwą tezę, niekiedy kładł się na trotuarze i udawał kawałek szkła kontaktowego, przypadkowo rozdeptanego przez burzę historii. Nikt nie rozumiał, o co mu tak do końca chodzi. Alegorie rodziły alegorie, teksty zamieniały się w kolejne teksty, symbole spadały z czerwonego nieba i niszczyły wcześniejsze konstrukcje naszych dojrzałych myśli. Niektórzy wyznawcy tego nie wytrzymywali i wtedy Max musiał temperować ich nadmiernie wybujałe osobowości przy pomocy ognia i żelaza lub wskazywać na drogę możliwej, małej stabilizacji. Nigdy nie potrafiłem nakłonić go do całkowitego rozprzestrzenia się w kropli wody, nawet mineralnej. Podczas eksperymentów cicho bulgotał i prosił o kieliszek czegoś mocniejszego.

Tryb życia mojego przyjaciela często doprowadzał go do scysji z właścicielką domu, w którym wynajmowaliśmy skromny apartament. Ta dobra kobieta nie mogła w żaden sposób zrozumieć, dlaczego w jej kamienicy czasami znikają schody z klatki schodowej, a marcowe koty zaczynają swe szaleństwa już w styczniu. Kominy

wykrzywiały się w dół w stronę piwnic, a szczury mieszkające w śmietnikach potrafiły same z siebie ograniczyć swoją prokreację. Na pierwszym piętrze mieszkali zwolennicy absolutnej wolnej miłości, a wyżej anarcho-syndykaliści i stary mleczarz. Było dosyć zabawnie, szczególnie kiedy przychodziły kobiety upadłe, które chciały się w ramach nowego systemu skutecznie podnieść. Nosilem wtedy zawsze w kieszeni sowę o zielonych oczach i chłopca z perłą we włosach. Pomagali mi przetrwać najtrudniejsze chwile mówiąc, że do krainy mądrości prowadzą coraz bardziej zawikłane ścieżki dekonstruujące dotychczasowe, w miarę proste drogi. Przyglądali się nam kowale swojego losu, a my nie zważając na ich uważne i smutne spojrzenia, wołaliśmy do siebie z Maxem ponad dachami pamiętającymi dawnych mieszkańców, zapatrzeni we wschody i zachody słońca, które jak zawsze wschodziło i zachodziło raz na dzień. Tysiące małych wózekków dziecinnych na wielkich kołach przejeżdżało pod naszymi oknami. Matki śpiewały patriotyczne i religijne pieśni, a ojcowie budowali kolejną hutę lub kopalnię w ramach kolejnego planu wyprzedzającego czas i przestrzeń o kilka interwałów.

Musimy przeciwstawić się drobnomieszczanom, mówił Max, osiągnąć stan filozoficznej równowagi. O ile pamiętam, równowagę ja i mój przyjaciel osiągnaliśmy różnymi sposobami. Jeden z nich polegał na obserwacji przedmiotów wyodrębnionych z obojętnego tła. Równowaga osiągnięta w ten sposób kojarzyła się nam z ozdobami wynajętymi na jeden dzień przez gospodarzy, których nie było stać na autentyczne dekoracje. Atrapy w tych mieszkaniach wykonane z gipsu i *papier maché* straszyły do późnej nocy i nie chciały ulec natychmiastowemu zniszczeniu. Taki to już jest ten ich świat, szeptał Max, trzeba go zniszczyć, ponieważ inaczej nigdy tak naprawdę nie będziemy wolni. Popatrz, jak przyglądają się nam zza tych swoich udających złote ram portretów, jak puszą się pod fałszywymi herbami, uprawiając seks na pluszowych kanapach. Wystarczy stłuc szkło i wszystko stanie się łatwiejsze, przestaną nas prześladować swoją napuszoną modą i podkręcanym wąsem, białym kołnierzykiem i wyglancowanymi butami. Jest ich zbyt wielu, nienawidzę, jak patrzą landrynkowymi oczkami, jak się łaszą do tanich kurew i do każdej władzy, która ma im zapewnić domowe ciepło. Podwójna moralność, podczas gdy nasza będzie pojedyncza. Dość już z niewłaściwie wykorzystywaną liczbą mnogą. Rozbijemy te gablotki i wyrzucimy na bruk sztuczne skrzydła schowane na strychu, dość już myślenia o siódmym niebie i o siedmiu krainach słodczy. Teraz będzie gorzko i słono. Nowa rzeczywistość rozjaśni się jak Aurora różanopalca, pięknouda, wysokopierśna. Nasze neologizmy wywiedziemy z tradycji europejskiej, ale bez przesady, potrzebne są bowiem nowe słowa nadążające za nowymi czasami. Prosiłem mojego przyjaciela, aby przyjął bardziej umiarkowaną postawę, ale on natchniony stawiał pasjanse prorokując szczęście przyszłych pokoleń i podkolorowując tło przywoływanych obrazów. Będą nam jeszcze dziękować za chleb powszedni, za kawałek mięsa, a my zgasimy światło i oni zginą w szparach podłogi, pomiędzy nagromadzonymi przedwcześnie sprzętami.

Czułem, że ogarnia mnie obłąd. Przebierałem bezradnie palcami, młynek, kawa, kuchnia, młynek. Widziałem postaci idące w śniegu pod wiatr, rzeźby ujęte w dawno poniszczone nisze. Każdy mógł przyjść i mnie skrzywdzić. Śmierć była blisko, narysowana niewidzialną ręką nad ślubnym obrazem moich dziadków zawieszonym nad ich nieistniejącym od dawna łóżkiem. Max górował nad tym wszystkim, ponieważ jego idea była nieśmiertelna. Nędza filozofii, myślałem, już tylko nędza. Może lepiej tego nie wiedzieć, pamiętać jedynie, że podróże kształcą, a nadzieja czyni cuda. Na razie nigdzie nie wyjeżdżamy, zostaniemy w domu, będziemy przyglądać się figurkom z gipsu stojącym na stole i zastanawiać się nad tym, jak daleko drapieżne zwierzęta nie są już drapieżne, gdyż

zostały wykastrowane przez przyjazny ludziom system ochrony zwierząt. Artyści są w coraz mniejszym stopniu wrażliwi na formę artystyczną, robią byle co i z byle kim, lew przemienia się pod ich rękami w małpę, małpa w kota i tak bez końca. Od drzwi do pieca, można powiedzieć i z powrotem. Zauważyłem, że moje myśli stają się ciemne, kiedy stoję u wrót ciemnej doliny. Rządzi mną przypadek, gubię się w kolorach, w zieleni i żółci położonych na grzywie pradawnych mastodontów. Podnoszę z ziemi uzbrojone w pazury łapy, mówię, nie próbujcie mnie zrozumieć, przyczepiam ich paznokcie, ubieram w piękno kształtów stworzonych przez pradawnego Boga. Ślady odbijają się w błocie, uzyskuję odpust zupełny. Moje bezgrzeszne ciało unosi się nad wodami. Całuję poślaczane krzyżyki, dręcę nieznanym myślą o końcu świata. Można się jeszcze ukryć przed gniewem bestii, ale tak naprawdę przestała nas ona interesować. Lepiej połączmy się z nogami wyciągniętymi na wschód, przeczytajmy coś, odświeżmy się po doświadczeniu mistycznym. Na suficie ukażą się nam obrazy z historii naszego narodu. Najbardziej lubię Bohatera na koniu z papieru, którego postać przyczepiono do drucianego stelażu. Żadnych świętości, mówił Max, musimy być ponad to. Jedna stopa bohatera straciła wprawdzie swój pierwotny kolor, ale może to i lepiej, dzięki temu wygląda bardziej naturalnie. W sztuce liczą się naturalność i spontaniczność, sława i chwała, brud zmartwychwstania, herezje dnia siódmego, liczy się balans pomiędzy tym, co jest ogólne i tym co szczegółowe. Sztuka jest wieczna, w przeciwieństwie do ludzi, artyści są święci, kiedy tworzą dzieło sztuki, nie wcześniej i nie później i to jest pocieszające.

Od pewnego czasu Max często mówił o świętości, cytował Biblię dla ubogich i kazanie o tym, jak zostać co najmniej błogosławionym. Pokazywał obraz, na którym amarantowy Chrystus wysiadał z łodzi, aby udzielić błogosławieństwa maluczkim zebrany przykładowo na brzegu jeziora. Chabrowe ryby nie przeszkadzały na szczęście apostołom podczas wiosłowania, a na pobliskich łąkach zbierano okruchy chleba rozrzucone niedbale przez tłumy wyznawców. Wiatr poruszał włosami głównych bohaterów i cienkim płaszczem filozofa, który próbował się ukryć po naszej stronie chmur przed nadmiernymi powiewami rozpędzonego przez prorocze słowa powietrza. Czułem, że nabiera ono ciężkości metalu, staje się nieprzejezdne i nieprzechodnie, że jest w stanie skruszyć wszystkie kopie i zetrzeć kurz wieków z ksiązek zgromadzonych w naszej bibliotece. Przeszkadzały nieco diabełki grające w kości z niezbyt dobrze namalowanymi szkieletami na obrzeżach obrazu. Przeszkadzała obecność śmierci, która potrafi zepsuć najlepiej zapowiadające się przedstawienie. Pomyśl, mówił Max, jak swobodnie toczą się dzieje tego świata zapisane przez licznych bajkopisarzy, jak pięknie roztapiają się na okiennicach serca wycięte z oszronionych paproci i jak pięknie milczą roślinne kandelabry zgaszone przez zbyt wczesną tego roku zimę. Ugotujemy na ogniu wodę, a następnie w wodzie tej ugasimy ogień. Transmutacja mistyczna tego co jest ciekłe w to, co jest ulotne. Tak spełnimy ofiarę, którą Pan będzie musiał przyjąć, podobnie jak wyczarowane na śniegu roślinne smugi świecące jasną poświatą wprost w oczy ludzi, którzy pozostali nieuważnie na pogrążającej się w wodach jeziora łodzi.

Rozmarzyliśmy się nieco razem z Maxem na sam widok przywołanego przed chwilą obrazu, stan rozmarzenia nie trwał jednak długo, ponieważ nagle znaleźliśmy się pośród grupy ludzi niechętnych naszej sprawie, którzy uzbrojeni w młoty i metalowe szczypce przyglądali się uważnie tworzonemu przez nas fantasmagoriom. Byli ubrani w wygodne stroje ryzykantów i niczego się nie bali zawieszani pod kopułą czynów bohaterskich. Ich świat nie był naszym światem, byliśmy inni wobec nich, a oni byli inni wobec nas. Piliśmy z nimi wódkę czystą z tego

świata, która wprowadzała nas delikatnie w stan nirwany nie z tego świata. Max, pytałem, dlaczego wszystko jest takie dziwne, dlaczego nie możemy powiedzieć niczego normalnie, dlaczego jesteśmy tak niezaradni życiowo, podczas gdy oni radzą sobie doskonale. Niestety nie otrzymałem odpowiedzi i musiałem dołączyć, przynajmniej pozornie do nich i udawać, że bawią mnie kawalkady pomyślane jako sprzeciw wobec tych, którzy nie potrafią spadać na ziemię jak koty, dokładnie i w pewnym ustalonym przez prawo ciężenia porządku. Oni potrafili bowiem, będąc rasowymi kaskaderami, nie tylko spadać na komendę z konia, ale też uderzać głową w odpowiednim miejscu i czasie, by później z właściwą sobie nonszalancją, zbierać spod kopyt resztki końskich czerepów. Wskazane były kawałki cukru w dłoni oraz myśl, że nie wolno zostawić w strzemionach drugiej nogi. Specjalna stawka pozwalała również na aranżowanie scen wleczenia przez konia po brukowanej okrągłymi głowami drodze. Spadanie z dachu płonącego wieżowca też było możliwe, wymagało jednak wieloletnich ćwiczeń i odpowiedniej liczby płonących wieżowców. Niekiedy dla odmiany skakali z płonącego samolotu ubrani w specjalne stroje wykonane z drewna i puszystej pianki. Miejsca puste wypełnialiśmy, jak zawsze, sprasowanym betonem, tak się nawet mówiło, to są ludzie z betonu, ale były to jedynie pomówienia płynące z ust nieudanych i marginalnych towarzyszy broni. W polu naszego widzenia zachodziły nieustanne zmiany, umierały siwe pisarki, podnosiliśmy się z martwych podpierając ścianą pochyloną malowniczo nad ruinami naszych miast i wsi. Nie było łatwo, brakowało nam powietrza i wody, pod dostatkiem za to mieliśmy ognia i głodu. Żywa tkanka nie chciała zarastać miejsc pomiędzy suchymi gałęziami. Z wielki uporem i trudem przebijaliśmy korytarze pośród morza niechęci i niezrozumienia. Wiedzieliśmy, że musimy zwyciężyć, że nasza treść gorejąca wreszcie się ujawni, a nasza przyszłość będzie dla innych godną pamięci przeszłością. Podnosimy się Max, wołałem, otrzepujemy buty z kurzu, ryzyko znowu staje się niezbędnym dodatkiem do codzienności.

Najpiękniejszy jest czas tuż po Podniesieniu, zauważył mój przyjaciel, ile radości i ile spełnionych nadziei. Można wtedy założyć już czapkę na głowę i zawiązać na szyi nowy szalik. Można też oddać się malowaniu miniatur, które najpiękniej maluje się w parku na ławce. Trzeba oczywiście mieć do tego stosowne pozwolenia, ale później, jaka satysfakcja. Miniatury wprawdzie nie są zbyt duże, pomagają nam jednak utrwalić nasze życie w pigułce. Dzięki nim stajemy się lepsi i mądrzejsi. Przyczepione na przykład do desek ławki albo do kamienia, który postawiono na chwałę zwyciężonym na środku placu, wyglądają pięknie w promieniach zachodzącego słońca, a niektórzy oprawiają je nawet w kość słoniową i bursztyny wydobyte z północnego morza. Miejsca pamięci zamieniały się w miejsca zapomnienia i odwrotnie. Wieczorami tylko buntowaliśmy się przeciwko nadmiernej pracy. Praca wcale nie uszlachetnia i nie czyni wolnym, mówił Max. Stare maksymy nie mają sensu, a nowe jeszcze nie powstały. Nawet malując obrazy tracimy przecież nasz cenny czas, który moglibyśmy wykorzystać idąc na przykład do cyrku. Zabawa w ornamenty, zabawa w wycinanie w drewnie kolorowych koników. Przywróćmy materii jej prawdziwy tragizm i autentyczne oblicze. Ona jest wieczna, a nie te składające się same w ukłonach pordezwiązałe scyzoryki. Ona ma głowę z brązu i rogi byka minojskiego na dostojnym czole, a jej złote okulary widzą samoistnie krańce Wszechświata. Jej kły, tu mój przyjaciel lekko się zawahał, jej kły są w stanie wbić się w każdą szyję i wykonać każdą niezbędną trepanację na czaszce historii. Potrzebna jest nam tylko samoświadomość, która kształtowana w niewoli, stworzy na naszych warunkach kraj wypełniony wolnością

Dlatego musimy zbudować na początek wspólnie ogromną wieżę. Wieża będzie zupełnie bezużyteczna i tym bardziej fascynująca. Dzięki litanijnemu powtarzaniu pewnych słów i objawionych przy ich pomocy myśli,

piętra naszej budowli będą rosły nieustannie. Podchodząc bliżej zobaczymy szereg narośli, przybudówek, elementów wcześniej nieprzewidzianych, ale to nie szkodzi, wieża powinna rozwijać się nieustannie jak nasze teorie społeczne i polityczne. Nikt nie ma przecież patentu na ostateczną mądrość. Musimy jedynie pamiętać o nadzorującym wszystko Wielkim Wezyrze rozpostartym od wschodu do zachodu słońca, który siedząc na grzbietach siedmiu słoni widzi wszystko i wie wszystko. Później się go ewentualnie pozbędziemy, ale na obecnym etapie jego obecność wydaje się być konieczna. Dlatego będziemy trzymać język za zębami, a myśli za językiem w bezpiecznym schowku tuż pod czaszką, tam gdzie przechowujemy pamięć i poczucie winy. Wiem, że każdy z nas i tak zostanie zrzucony ze szczytu wieży, są to jednak koszty rewolucji, które musimy ponieść. Może uda nam się pod drodze uchwycić chociaż fragment ornamentu tak charakterystycznego dla sztuki Orientu.

Max myślał o piórku flaminga, a ja o popielniczce z laki, na której ktoś wyrył historię początków i końca. Jest w tym pewna nierówność, początków jest tak wiele, a koniec jeden. Nie wiedzieliśmy, dlaczego tak się dzieje, najwidoczniej historia ma duże poczucie humoru i sporo czasu do zmarnowania. Najważniejsze, abyśmy wspólnie pracowali i wspólnie zdążyli do celu. Nasze zgarbione plecy wyprostują się wtedy nieznacznie, a ręce staną silniejsze. Max myślał nawet o wyskoczeniu na chwilę na polowanie do Indii. Tygrysy podobno w tym roku obrodziły i niszczą pola uprawne ubogich rolników. Połączymy przyjemne z pożytecznym, praktykę z teorią, sztuczną szczękę z mlecznym podniebieniem. Nie wiedziałem, co to jest „mleczne podniebienie”, ale nie śmiałem pytać, tym bardziej, że metafory tego dnia bardzo na nas napierały, a symbole nie mogły się doczekać, by ktoś je zauważył i zużył. Nie osiągniemy w ten sposób popularności, martwiłem się, nie jesteśmy dostatecznie przeźroczyści, nasz świat przedstawiony nie jest ich światem i wręcz oddala się od nich jak galaktyki albo pośpieszny autobus. To straszne, nigdy nie zaznać sławy i chwały, i stać się w końcu kupą liter rzuconych na bruk, którego nie ma. Taki jest jednak nasz los, pocieszał Max, w coraz większym stopniu utożsamiając się z materią, w której tworzył, tak jak jeździec utożsamia się z koniem, a *vagina* z *fallusem*. Mój przyjaciel używał niekiedy takich słów, ponieważ uważał, że prawdziwy filozof nie może postępować inaczej. Nie powiem, przecież pizda i chuj, albo cipka i kutas to niegodne mędrca. Tym bardziej że tworzę tekst, którego jeszcze nie ma i który dopiero zyskuje swój status ontologiczny. Lepiej lub gorzej, ale zyskuje, przez co nie mogę przestać pisać, tak jak dziewczynka w czerwonych bucikach nie mogła przestać tańczyć. Zostaliśmy ukarani za nasze grzechy i ta męka nigdy się nie skończy. Patrzyłem na Maxa z przerażeniem, ponieważ zawsze uważałem, że nie ma takiego tekstu, którego nie można skrócić, a co dopiero przerwać w połowie, lecz nie byłem filozofem i nie rozumiałem spraw tego świata tak dogłębnie jak mój przyjaciel.

Wielokrotnie zastanawialiśmy się nad możliwościami metamorfozy, wymyślali zwierzęta, w które chcielibyśmy się zamienić. Max, z niewiadomych dla mnie powodów, zawsze chciał być koniem pociągowym o grubych kopytach i grubej skórze charakterystycznej dla starych osobników, koniem karmionym z ręki przez młode dziewczynki masłem i cukrem, na przemian z charakterystycznymi dla naszej kuchni prostymi potrawami. Gdybym był koniem, nie potrzebowałbym żadnych innych środków komunikacji, mówił, nie stałbym w korkach, sam bym siebie nosił na grzbiecie i sam sobie zaplatał złoty ogon. Sam bym też przebijał się przez dżungłę życia, a w pracy nosił na siodle najcięższe drzewa. Bez codziennych zajęć czułbym się niepotrzebny nikomu i znałbym swoje miejsce w stajni. Niekiedy widziałem, jak mój przyjaciel wieczorami posypywał sobie łeb popiołem i grzbiet

piaskiem, a następnie spokojnie i z pewnym dostojeństwem gestów jadł dużo i nigdy nie narzekał na swojego woźnicę. Czasami traciliśmy go z oczu, ale wtedy uspokajałem przestraszonych tubylców, aby pamiętali, że to jest tylko taka gra w przemiany wewnętrzne i zewnętrzne. Nikt nie ginie tak łatwo, żaden system nie ulega całkowitemu zniszczeniu, co najwyżej podlega tajemniczej transmutacji mitycznej, a wystarczy by zapadła noc i wszystko wraca do dawnego porządku. Nocą ludzie wolą być blisko siebie i chronić wieczny ogień palący się na kominku, a zwierzęta mówią niekiedy ludzkim głosem. Można wtedy zasnąć spokojnie i nie myśleć o koniecznych transformacjach, ponieważ podczas snu i tak wszyscy ludzie są sobie równi i lekko nieprzytomni. Śnią się im bowiem zwierciadła sprawiedliwości, które niekiedy zamieniają się samoczynnie w lusterka lub okruchy krystalicznego szkła. Nawet jeżeli nawiedzi nas huragan, nie zauważymy zniszczeń, ponieważ wystarczy przewrócić się na drugi bok, a najwyższe nieboskłony dotkną ziemi i nie będziemy już musieli dłużej uczestniczyć w kolejnym wniebowstąpieniu. Maxowi czasami śniły się mury odrutowane krwią skazańców, ale szybko o tym zapominał, zapatrzony w zbliżającą się szczęśliwą przyszłość. Tak naprawdę, twierdził, nie wiemy, czy będzie możliwe porozumienie z czasami, które nadejdą. Być może powstałe w innych warunkach społecznych i politycznych nie będą znały naszego języka snów i marzeń. Jak zawsze potrzeba będzie nieco codziennych wyrzeczeń, ale dzięki nim każdy będzie miał buty i na papierosy, a pomniki zaludnią nasze place i skwery stawiane przez wdzięcznych mieszkańców najwybitniejszym osobistościom nauki i kultury. Zaistnieje też potrzeba poprawienia stanu zdrowia mieszkańców. Śniły się nam ogromne kliniki z wieloma salami zabiegowymi prostujące kręgosłupy i łamiące niepokorne serca. Biel ścian była wprost przytłaczająca. Chodziliśmy z Maxem po rozległych i czystych korytarzach, a naszym oczom ukazywały się sceny przypominające dawne izby tortur. Łatwo było zauważyć, że nawet najsilniejsze materie ulegają załamaniu w najsłabszych miejscach. Powstają tam rysy, początkowo niedostrzegalne później ulegające gwałtownemu powiększeniu, by na końcu rozpaść się i pęknąć w różnych kierunkach. Tak hartuje się charaktery, mówił Max, tak zbadamy wszystko, co może ulec zbyt wcześnie zniszczeniu. Wtedy nieuzbrojone oko dostrzeże archipelagi ludzkiego bólu, wygięte kabłąki pleców, opuchnięte kolana, dziurawe dziąsła, zrośnięty w gruzy seks. W naszym obchodzie będzie nam towarzyszyć gromadka miejscowych świętych i oczywiście lekarze oraz inżynierowie ludzkich dusz.

Wszyscy na początek powinni wypalić papierosa, wiem, że to szkodliwe i prowadzi do wielu chorób, ale trzeba na coś umrzeć, aby stać się mierzwą historii złożoną z naszych prochów i popiołu strzepywanego do popielniczek. Zjemy też coś na początek, najlepiej chleb powszedni i popijemy wodą z kranu. Poczciwi mieszkańcy przyniosą nam słoninę, która ostatnio jest coraz grubsza. Mam nadzieję, że nie zapomną o nas, chociaż zauważyłem, że ostatnio zaniedbują swoje obowiązki, nie grzebią nawet umarłych, nie modlą za tych, którzy odeszli, przez co na cmentarzach rdzewieją łopaty, a pistolety w kaburach są coraz bardziej zaśniedziałe. Nie wszystko jest ideologią, nauczał Max, czasami trzeba wyjąć pety z ust i wyrzucić je na śmietnik, tym bardziej, gdy pada deszcz i cały świat jest do dupy. Zostawmy wszystko swojemu losowi, dzisiaj nie walczymy, dzisiaj odpoczywamy zażywając rytualnych kąpiele, które odmłodzą nasze ciało przed zbliżającą się wiosną ludów. Musimy to zrobić teraz, na wiosnę nie usuwa się już żadnych narośli ani guzków, nie odcina zużytych kończyn, bowiem krew wtedy buzuje jak młode wino, a członki prężą do skoku. Chodźmy na wszechświatowy bankiet, ogłośmy władcami Ziemi, pamiętajmy, że w tym świecie szczęście jest obowiązkowe, a wspomnienia są nikomu niepotrzebne.

Nie wiem jak dołączyć ten fragment, zdania stają się coraz bardziej mechaniczne, mój przyjaciel ginie w odmętach słowa, ledwie go widać spoza rozległych fraz i ciekawych konstatacji. Nie wiem też, czy poezja jest tu w stanie coś uratować, czy jest ona jakimkolwiek ratunkiem. Możemy oczywiście spróbować wszystkiego od początku, ale to już nie będzie prawdziwy początek, czym w takim razie to będzie albo nie będzie jeżeli nie zostało jeszcze powołane do istnienia. Lubimy takie gry, na przykład łączenie ściętych głów ze łąką w oku wylaną na polach dotychczasowych bitew. Przypominają toczące się kamienie, które osypują się wzdłuż niezabliźnionych karków, taki obraz z minionych fotografii, na których grzech i cierpienie za grzechy wyglądają podobnie. Widzę też klatki zaludnione ludźmi przypominającymi zwierzęta, pochody wśród śniegów, lasy nad ciemnymi jeziorami. Postęp, przypominał Max, nie polega na przyjmowaniu wszystkiego bezkrytycznie do wiadomości, raczej na upewnianiu się, że wszystko jest zmienne, ponieważ wynika z naszej zmiennej natury. Metamorfozy, to jest klucz do tajemnicy życia, podobnie jak przegryzanie żelaznych kurtyn, aby sprawdzić czy poza nimi jest jakaś scena wypełniona tysiącami statystów.

Wiedziałem, że wszystko to jest nadmiernie patetyczne. Świat nie lubi patosu, ja nie lubię świata. Jest remis, tym bardziej, że tego roku coraz silniej wnikałem w magię białą i czarną nie obawiając się ani ludzi, ani stworzonych przez nich sądów. Magie sprawiały, że analogie i porównania rodziły się same. Mogłem na przykład porównać Maxa do inteligentnej maszyny i nikogo to nie dziwiło. Wiedzieliśmy również, że obecnie dzięki magii zawsze wygrywa silniejszy, a w naszym ustroju zawsze będzie wygrywał słabszy. Pamiętam te słowa: Zaprawdę godne to i sprawiedliwe, słuszne i zbawienne...niestety nie wiem, jak brzmią one dalej i pewnie nigdy się już tego nie dowiem. Starzy ludzie nie wszystko pamiętają, niekiedy nie pamiętają nawet tego, że są starzy. Nie pamiętam też ile mieliśmy lat snując nasze plany na przyszłość, na pewno potrafiłiśmy jeszcze nazywać otaczające nas rzeczy, wskazywać na prawdy ogólne i uogólnione, wrastać i przenikać w światy stworzone dla symetrii i dla dysonansu wyobraźni jednocześnie. Słodkie słowo „wyobraźnia” tłumaczyło nasze szaleństwa, nasz Kosmos, nasze próby przewyciężenia jej poprzez pisanie z pamięci nowych kodeksów prawa karnego i administracyjnego. Podobnie było z próbą napisania z wyobraźni książki telefonicznej południowych regionów Pacyfiku, niestety szybko zauważyliśmy, że w tej książce numery telefonów zmieniają się błyskawicznie w tajemnicze szyfry fal i wschodów słońca, w palmy i rafy koralowe, a słuchawka telefoniczna przybiera kształt rekina ludojada.

Nie było nam przez to łatwo żyć, tym bardziej, że zaczęły nas opanowywać liczne choroby tropikalne takie jak gorączka swobodnego rozkojarzenia i gorączka złota. Zastanawialiśmy się też, kiedy przekroczymy granicę kolejnego szaleństwa jakże bliskiego wielu artystom i filozofom. Pękają wtedy hamulce i pojawiają się przypadkowo skojarzone obrazy liryczne przypominające psy wykonane z brązu przykryte płatkami róży, albo jeziora wypełnione płynnym srebrem płynącym z pobliskich gór. Jeżeli wszystko jest w sztuce możliwe, mówił Max, to tak, jakby nic nie było już ludziom potrzebne, przecież nikomu niepotrzebny jest pisuar w kształcie fontanny ani fontanna w kształcie pisuaru. Każda rzecz powinna mieć swoją formę i przeznaczenie i każda odnaleźć swój czas i miejsce akcji. Na tym będzie polegał nasz realizm, na dostosowaniu celów do zamiarów i myśli do czynów. A teraz chodźmy do baru czegoś się napić, tym bardziej, że brązowe psy zaczynają się nam przyglądać i szczerzyć kły, a wódka dzisiaj jest tańsza niż wczoraj.

Podeszliśmy do barmana, który miał dwie lewe ręce i, jak twierdził, serce też po lewej stronie. Lewica góruje, prawica dołuje, wołał Max, nie ma jak harmonia pomiędzy tymi, którzy idą na manifestacje i tymi, którzy z niej wracają. Nad barem dawały się widzieć oleodruki ukazujące Sodomę tuż przed atakiem Pana i Gomorę tuż po ataku. Stary Lot przeprowadzał wywiad z panią, która przeżyła upadek Wieży Babel, a jego córki tańczyły w kabarecie. Było wprost bosko, mieliśmy z Maxem mnóstwo czasu na rozmyślanie, leżeliśmy na błękitnej kratownicy tuż pod chmurami i patrzyli jak nieznani osobnicy idą z laskami dynamitu, aby udowodnić, że Nagroda Nobla ma głębszy sens niż dotąd myślano. Nie ma jak pokojowe współistnienie narodów, rozmarzył się Max, ich pochodź ku szczęściu i wolności, nie ma jak księżycowa rzeka utrwalona w znanym standardzie, która płynie wolno w naszą stronę, nasycając powietrze sztuką czystą. Stare złoto zalewało nam oczy z okresu błękitnego, a czarne kwadraty na czarnym tle opalizowały w ciemnościach zachęcająco. Z daleka przyglądały się nam kobiety pozbawione zmysłu fikcji literackiej, bezwstydne i chłonne jak jamochłony, dla których piękne portrety istniały tylko na banknotach o wysokich nominałach, a greckie profile dawały się zauważyć jedynie na srebrnych monetach wydobytych z dna morza.

Zawsze fragment, mówił Max, wszystko jest fragmentem, nasze przeświadczenie, że jesteśmy całością, wynika z niezrozumienia zasad rządzących światem. Pomyśl o rozgwiazdach leżących na dnie morza, o wapien-nych skorupach dawnych skorupiaków zamienionych w kamień, o latawcach, na których lecą stada samobójców, czy można na tym budować solidną teorię bytu, czy poezja ma jakąkolwiek przyszłość, jeżeli stara się ogarnąć wszystko i wszystkich. Lepiej posłuchajmy muzyki, kujawiaków i oberków rozpalających krew każdego Polaka do czerwoności, podkóweczki dajcie ognia, bo dziewczyna tego godna. Nie ma jak lud, jak jego starodawne pieśni, na tym fundamencie zbudujemy zręby kultury narodowej. To piękne słowo zręb, prawie jak dziewięciosił albo dzięcielina. Pamiętaj Max, że idee muszą być przetłumaczalne na wiele języków, nie można wprowadzać do nich nieprzetłumaczalnych określeń, słownik musi być ubogi, ale sprawdzony, duch, materia, prawda, praktyka, kapitał, to są dobre słowa, a nie świerzop czy coś w tym rodzaju. Popatrz lepiej na drzwi stojące na środku pola. Można przez nie przejść z jednej strony na drugą, stale będąc na polu. To piękna metafora naszego tutaj istnienia, podobnie jak oklaski za lasem nawołujące do spotkań z młodymi dziewczynami. Popatrz na korę drzew, ile tu wyciętych potajemnie serc, ile przewiązanych pod koronami wstążek. To jest las zakochanych, tylko miłość zwycięży poezję i filozofię, nie mówiąc już o walkach na wszystkich frontach czy chorobach zakaźnych. Robinsonowie są wśród nas, podobnie jak Piętaszki, samotne wyspy i sztylety wbite w piersi kochanków. Sztuka musi być melodramatyczna, by mogła przetrwać, musi umieć przebaczać i kopać złoto na pustyni ubrana w futra zdjęte z ciepłych jeszcze zwierząt. Nie może być normalna i nie powinna być nienormalna, musi żyć swoim samoistnym życiem, pamiętać, że w każdym samorodku jest ziarno piasku, a perły powstają ze skałeczenia perłopławu. Wokół grudki pyłu może powstać klejnot, na balkonie wielka epopeja, w koszu na śmieci lęgną się niekiedy ciekawe pomysły performansów. Dziki len jest w stanie opanować znaczne przestrzenie ogrodu, w którym wylęga się piękno. Droga odwrotu od świata sztuki nie będzie łatwa, ale prawdziwy filozof musi ją przebyć, inaczej ugrzęźnie w byle jakiej magmie materii, musi umieć odwrócić wskazówki zegara, ukrócić bunt wewnętrzny i czasami wstawić sobie porcelanowe zęby, aby do reszty nie przestraszyć zwykłych ludzi. Nie spodziewajmy się życia usianego różami, nie spodziewajmy się niczego dobrego. Na barykadach biją się dziady, a lud roboczy wytrzeszcza oczy. Zapamiętaj to sobie, zapamiętaj papierowe tygrysy i psa pająka, który przechadza się po

gościńcach świata. Odwróć ostrze buntu przeciwko sobie i zniszcz na początek siebie w dawnej postaci, stań się bestią albo blond herosem. Tacy żyją najdłużej.

Na szczęście tego typu porywy gniewu nie ogarniały Maxa zbyt często. Wiedziałem, że tak naprawdę w wolnych chwilach myślał on przede wszystkim o muzyce, o dźwiękach wydobywanych z gitary, o gryfach i progach, w których zakłęte był melodie. Na palcach prawej ręki nosił zawsze pierścienie umożliwiające grę pełnymi akordami, a jego gra potrafiła wypełnić przestrzeń naszego domu do tego stopnia, że wschody i zachody słońca odbywały się jednocześnie i księżyc nigdy nie zachodził. Dzięki nieustannemu światłu przez pokoje przejeżdżały pociągi wypełnione ludźmi, a noc rozmywała odległe brzegi niezauważalnie i cicho. Nie wiem gdzie wtedy się znajdowałem, czy byłem bliższy jasności czy ciemnej strony mojego życia, być może wynikało to z monotoni ruchu kół w nieruchomym powietrzu, a może z ucisku bólu na moją czaszkę pełną niebanalnych zwrotów i niespodziewanych słów, które wyrwały mi się ust na podobieństwo stada ptaków zbudzonego przedwcześnie i niespodziewanie przez jakieś dzikie zwierzę mieszkające w głębi moich oczu. Przeczytaj to jeszcze raz Max, uwielbiam piękne zdania. Kocham poezję czystą, wymagającą od czytelnika wiedzy i wrażliwości, poruszam się wtedy po krawędzi czasu, po sferach, w których rzeczy i ludzie tracą swoje znaczenie, którego zresztą wcześniej nigdy nie miały i nie mieli. To jest mój manifest, odezwa na najbliższą manifestację poświęconą wspaniałej przyszłości, kiedy wszyscy będą już poetami, a kanalarze będą pisać obszerne poematy opisowe o swoich kanałach.

Max przy moich słowach podnosił gitarę do ust i słuchał jak gra sama pobudzona jedynie przez jego oddech i ciepło bijące z szerokiej piersi. Zatrzymajmy, mój przyjacielu ponownie obrót kół wszystkich pociągów ziemi, słowa mogą to zrobić, podobnie jak zniszczyć mosty i zbudować zapory na największych rzekach świata. Obróćmy bieg tych rzek, Max, o sto osiemdziesiąt stopni, nadajmy im nowy bieg i sens jakże potrzebny prostym ludziom. Nie można tańczyć w kajdanach, słodkie tango tutaj nie zagości, będzie za to nowa energia, nowy smak czasu. Zatrzymajmy jeszcze raz nasze myśli, ponieważ oni są zniechęceni, zbyt długo trwają w skorupie przyzwyczajień i przesądów. Nie trzeba im niczego oprócz bezpiecznego powrotu do domu, gdzie czekają na nich dzieci i kochające żony. To straszne Max, taka małość i pospolitość celów. Musimy ich zmienić, przekuć w stalowe narzędzia, sprawić, aby podróż nie był rytuałem ptaka i gniazda. Zniszczymy gniazda, wtedy staną się inni. Ich spojrzenie nabierze mocy, ramiona siły, a muzyka będzie ich zagrzewać do boju i do pracy, która czyni wolnym i uszlachetnia. Gitara nie będzie już potrzebna, a ciała moje i twoje Max zamienią się w ożywczy proch dziejów i wiatr, który wieje, dokąd chce.

Musimy zapomnieć o abstrakcji, powieśmy na ścianie obraz ukazujący słoneczniki albo kilka obrazów z rodzimymi kwiatami i sznurem żurawi lub bocianów odlatujących na zimę do ciepłych krajów. Powiedz coś Max, powiedz, co o tym sądzisz. Abstrakcja jest szkodliwa, lepiej po prostu sadzić kwiaty, zbierać pestki słonecznika do butelki z ciemnego szkła, obracać twarz do słońca. Życie musi zwyciężyć, podobnie jak smutni mieszkańcy przychodzący do nas z walizkami przewiązanymi sznurkiem. Wędrówka ludów trwa nieustannie, nieustanny jest też wyścig z czasem i gonitwa o najwyższą nagrodę sezonu. Dostaniemy ją Max, takie już jest nasze przeznaczenie, takie przeznaczenie. Głowy pięknych zwierząt opadną na nasze kolana, przeszkody będą dla nich zbyt niskie i ba-

nalne w swej istocie. Na szczęście tego roku mamy łagodną zimą i kopyta koni nie ślizgają się na stromych stokach okolicznych wzgórz. Podamy im cukier na dłoni i kawałek naszej historii.

Jest tego trochę, ale najlepiej jest odejść od przeszłości, patrzeć w przyszłość, słuchać *Concerto Aranjuez*, opery o Don Juanie i jego zwycięstwach. Pożyczamy płyty, solo na gitarze i skrzypcach, sztuka jak zwykle zwycięża, sąsiedzi przychodzą z pracy do domu, same nieszczęścia. Max nie potrafił uciec od codzienności, wiedział, że nie jest do niej stworzony, interesowały go sprawy wielkie, wzniosłe i piękne. Potrafił zagrać coś lewą ręką, kołysankę albo taniec z szabłami, ale poza tym muzyka była dla niego jedynie tłem dla obserwowania świata jawiącego się mu jak wielka skocznia narciarska, z której nieustannie ktoś zjeżdża w dół, aby osiągnąć coraz większą odległość i wysokość. Progres, to piękne słowo, postęp, o to warto jest walczyć. I nie można porzucić tej myśli dla grzebania w starych koronkach, rodzinnych klejnotach, znakach Zodiaku, perłach i ametystach wypłowiałych od leżenia na dnie starej szafy. Nawet miłość musi przed nim ustąpić i życie prywatne skupione w kamei noszonej na szyi z czarną wstążeczką, kolorem, bladym połyskiem, gonitwą obrazów, które nie chcą się ułożyć w żaden sensowny ciąg, w żadną opowieść. Max nie miał już matki i wolał nie myśleć o niej, o czasie, który minął, po co się wzruszać, wzruszenie nie jest godne prawdziwego rewolucjonisty. Czasami jedynie rozpakowywał stare horoskopy, podziwiał urodę Byka i Barana, martwił się niestałością Bliźniąt, słuchał historii opowiadanej przez Raka i Lwa. Nie wierz w zabobony, mówił, nie wierz w anioły na szpilce, w motyle ulepione ze snu, nie wierz też młodym gniewnym i starym zgorzkniałym, nie wierz nikomu, nawet Panu Bogu. On nas nieustannie oszukuje.

Niekiedy podróżowaliśmy do odległych krain, aby nieść tam dobrą nowinę o tym, co musi się wydarzyć. Kochaliśmy leniwe wylegiwanie się na białych plażach, słuchanie egzotycznych instrumentów, seks z ubogimi kobietami, które dzięki nam stawały się z dnia na dzień bogate i wewnętrznie uspokojone. Później wracaliśmy w nasze strony, chcąc posłuchać odwiecznych kolęd, posiedzieć przy choince, zjeść karpia. Max nie znał wcześniej smaku tej ryby, mówił, że jest wyborna i że będzie można włączyć ją do Nowej, Świeckiej Tradycji. Karp może się stać elementem naszej ideologii, podobnie jak pochody podobne do dawnych pielgrzymek i wiece bliskie nabożeństwom. Powaga naszych działań wymaga pewnych ulg i ustępstw ma rzecz ludowej zabawy. Lud lubi drewniane łyżki i koguciki na patyku, kocha zbiorowe śpiewy i dym kadzideł lub fajerwerków, lubi jak sypie się mu piaskiem w oczy, by nie widział zbyt wyraźnie gnoju, w jakim żyje. Będziemy królami piaskowej bajki, wyjmemy wszystkim oczy na jeden dzień i jedną noc. Ktoś musi oślepnąć, inaczej inni nie będą mogli przejrzeć w sposób skuteczny i ostateczny. Katarakty też przezwyciężymy, podobnie jak bieg rzek płynących w nieodpowiednią stronę i pustkę pustyni, którą zamienimy w żyzne pola. Struny pękną, nikt nie powstrzyma tsunami przybywającego ze Wschodu na kształt Dobrego Pasterza i Złego Wojownika jednocześnie. Uważaj Max, zbyt często stosujesz wielkie litery, rzeczy przez to nie stają się automatycznie wielkie, zapamiętaj to sobie.

Tego dnia od rana trwały mistrzostwa w zapominaniu tego co ważne i przypominaniu sobie scen z dzieciństwa, kiedy to wszystko wydawało się lepsze i bardziej szlachetne. Max ponownie szedł do szkoły w krótkich spodenkach, których nienawidził i z tekturowym tornistrem na plecach przytłaczającym jego drobne ciało. Nikt nie powinien się spóźnić na otwarcie, mówiono, szczególnie pierwszoklasiści. W domu pozostały zabawki płaczące pod kołderką, gdyż nikt ich nie obudził przed śniadaniem. Na ścianach rozpanoszyły się wielkie kleksy, których malowanie Max ćwiczył uparcie przed pierwszą lekcją w prawdziwej klasie, ponieważ chciał być pierwszym

uczniem i pupilkiem pani wychowawczynie. Zawsze był zapobiegliwy i przewidywał, co wydarzy się niebawem. Wiedział, że nauczyciele będą dla niego wyrozumiali i po śmierci wstaną na Sądzie Ostatecznym przypróśnieni pyłem kredy i kurzem ścieranym pracownicę z szafy w klasie I b. Będą też mieli rogowe okulary, aby lepiej widzieć Pana Boga, a w płucach, które na szczęście rozpadły się już w proch, resztki gruźlicy wyniesionej z pól bitewnych ostatnich wojen. Grono ich będzie więdło nieustannie, aż nikt się nie ostanie po tej stronie tęczy, ale na razie są wszyscy zgromadzeni przed szkołą, czekając na wizytację i Panią Dyrektor, należącą niegdyś do komunistycznej partii lub do podobnej, wojującej o lepszy los ludzi pracy organizacji. Max lubił śpiewać wczesne pieśni rewolucyjne, znał wprawdzie zawsze tylko pierwszą zwrotkę, ale i tak ich słowa doprowadzały go do łez, płynących po twarzy z dumy i współodczuwania krzywdy innych. Był wrażliwy społecznie już na początku swojej edukacji, kochał czerwone sztandary i programy przyrodnicze w telewizji. Recytacje zbiorowe mają sens, mówił, podobnie jak wspólny śpiew i krok rozpoczynający się od lewej nogi. Ze mną było inaczej, nie lubiłem deklamować przed wpatrzoną we mnie salą, moja skromność i brak zaufania przeszkadzały mi w kontaktach z ludźmi, ale, pamiętaj Max, ja to w sobie przewycięzę i będę dobrym członkiem przyszłego, szczęśliwego społeczeństwa. Na razie muszę klęczeć na grochu i trzymać ręce do góry, to jednak niedługo minie i przyzwyczaję się do nowych reguł istnienia i bycia w byciu.

Tak mijały nasze lata, a wraz z nimi wiek bohaterski, którego wspomnienia towarzyszyły nam nieustannie. Max myślał o dwóch ziemskich półkulach, które powinniśmy zdobyć i zasiedlić, ja z kolei o pozytywnych wzorach i o tym, że tak ciężko jest je znaleźć w trywialnej i niespełniającej naszych oczekiwań rzeczywistości. To była teoria, podczas gdy w praktyce Max zajmował się nicnierobieniem, a ja próbowałem zapisać odmienne stany świadomości przy pomocy jakże ubogiego w środki wyrazowe języka, złożonego ze słów i gestów. Słowa nie chcą mnie słuchać, żaliłem się Maxowi, aby je odzyskać, zamykam się w szafie na całe dni, a i tak niewiele mi to mi pomaga. Może gdyby papieros albo kieliszek stolicznej, kto wie, może wtedy wróciłaby do mnie poezja jakże potrzebna nowym czasom. Tym bardziej, że niekiedy w tej szafie dopada mnie nostalgia, wspomnienia tego co było i minęło wraz z ostatnim śpiewanym w restauracji romansiem Wertyńskiego. Dotąd starałem się unikać konkretnych nazwisk, ale przyszedł czas, aby ich użyć, aby złożyć doniesienie, że to romanse sprawiły, iż zacząłem oddawać się myślom niegodnym prawdziwego rewolucjonisty. Przez to wszystko upijam się od pewnego czasu na smutno i nie chce mi się tak naprawdę żyć. Jak długo można czekać, musimy przyśpieszyć czas, uzyskać efekt przepływu pięciu lat w trzy albo dwa. Wystarczy tego czekania, ale najpierw namalujmy portrety przywódców, odwróćmy je twarzami od ściany, zaczną wtedy dźwięczeć, patrzeć, widzieć więcej, jak to na wiosnę. Za oknami przelatywać będą całkiem nowe owady, ptaki wędrowne, szpilki, na które nie udało się nikogo nabić, butelki po wódce, cały ten kram, złożony ze śmieci i odpadów starej cywilizacji. Przejdźmy, Max, do innego wymiaru, tam jest cieplej i lepiej, tam mieszkają filozofowie metafizyczni razem z pięknymi kurtyzanami i ciotkami rewolucji. W dążeniu zawsze liczy się punkt wyjścia a nie dojścia. Szpilka wbita w mózg kłuje do dzisiaj, nikt nie zdoła jej wyjąć, jestem naznaczony odwiecznym piętnem krzywdy społecznej, nowym tekstem, który przyrasta samoistnie i bezbłądnie, tworząc kolejny tom moich dzieł zebranych.

Piąty wymiar, to jest coś dla nas, dzieci kwiatów, nad którymi przelatują motyle pазie królowej, kolory stubarwne i niespodziewane, cała nasza pieprzona poezja. Płyniemy Max, kiedy świeci ziemia, trzeba płynąć, dla

nas jest całe ciepło pociętych trzciny, odlatujemy do krainy łagodności, gdzie ostrza są stępione a szaty naszej pani są przezroczyście, jak nektar wyssany z księżycy. Staniemy przy najwyższych schodach świata, to potrafimy najlepiej, zatrzymamy się jeszcze raz i będziemy czekać na zbawienie przez sztukę. Zatrzymamy zachód słońca, wykorzystamy prądy wstępujące do nieba, oczekiwanie na cud, miękkie lądowanie. Mistrzowie nauczą nas pracy w materiale, później pracy nad przebóstwioną materią, otwierania otwartych okien. Znalazłem się w połowie drogi i nie mogę się już cofnąć, musisz to zrozumieć Max, nie mam wyjścia, nieustannie szlifuję słowa, łapię wielkie chrabąszcze, wsadzam je do kapelusza i patrzę, jak się męczą. Tak naprawdę to ja się męczę, myśląc o nich, czuję, że do walizki ktoś podrzucił mi ogromne kowadło, którego nie potrafię wyjąć i wyrzucić na śmietnik przeszłości. Kalekie bóstwa są razem ze mną, mają wykrzywione stopy, uczą mnie historii, uczą na błędach. Wojny punickie, wojny chłopskie, wojny światowe, same błędy, daty, wydarzenia o ogromnej sile oddziaływania. Podwaliny dziejów, których nie możemy już zmienić, Możemy jednak dzieje przyspieszyć i przewidzieć, odczytamy na nowo źródła. Pomyśl, jak piękne byłoby dosłowne czytanie źródeł, z kropli wody, z odbicia w zmarszczkach potoku, z zanurzenia twarzy aż do braku powietrza, w literach rzuconych na najgłębszy strumień. Załamujemy się na mokrych skrętach, rzucając na świeżo zrodzone strony i czytamy przepowiednie o zbliżającej się szczęśliwej epoce. Musimy tylko zanotować najważniejsze słowa, nie ma ich zbyt wiele, są ciężkie od wody, spływają po ramionach i najczęściej nie da się ich wypowiedzieć. Objuczeni płynem idziemy dalej, kropla po kropli jak natchnieni prorocy, albo dobrzy pasterze pilnujący swojego stada. Nasza mowa jest ciemna, nasze oczy błyszczą. Wokół nas powstają kaniony wyżłobione w twardej skale, rzeka zapomnienia jest coraz bliżej.

Myślę o niej coraz usilniej, o czym myślisz Max, o rzece, jest coraz głębsza i płynie coraz wolniej, jest w tym pewna sprzeczność, ale na sprzecznościach opiera się świat dialektyki i brzegów naszego morza, błędów i nadziei spełnionych przedwcześnie. Niekiedy przyglądam się jej nurtowi, ile tu śmieci, starych fotografii, brunatnej brei, na której unoszą się trupy padłych ptaków. Nie wygląda to najlepiej, niekiedy tylko woda się oczyszcza i widoczne są stalowe błyski piany ulatujące w stronę dalekich krain. Wszystko, o czym mówimy, jest daleko, dlatego nic nie jest blisko, dlatego ciągle musimy walczyć o szyny, o plan, o żniwa, o demokrację, a inni nic nie muszą, żyją sobie w ciepłym i onanizują w spokoju. Nasze zwierzęta są już zmęczone, niosą zbyt ciężkie bukłaki, ich oczy są martwe, mają nas dosyć, ich kontury zamierają na wietrze. Musimy coś zrobić Max, zwołać publiczną debatę, urządzić zjazd towarzyski kolegów ze szkoły elementarnej, ocenić bieżącą sytuację, ułożyć zdania z przypadkowych słów i wróżyć z jelit baranich, powiedzieć cokolwiek. Poezja nas nie zbawi, nasi bohaterowie jeszcze się nie narodzili, ale ludzkość nas potrzebuje, czytam o tym w klepsydrach ginącego świata, są pełne złych wiadomości, głoszą koniec nieodwracalny i stanowczy. Stoimy na korytarzu historii, wszystkie drzwi do klas są jeszcze zamknięte, wieje wiatr, duch unosi się, dokąd chce. W naszych książkach zapisano dopiero pierwsze strony, proszę wchodzić, proszę się nie obawiać, tam trochę śmierdzi, ale posprzątam wszystko żelazną miotłą. Nie traćmy czasu Max, gorzki ryż sprzedają po parę złotych, a na chodnikach naszych ulic jest miejsce dla wielu poległych. Z wstępowaniem do tej samej rzeki nigdy nie mieliśmy problemów. Zase wychodzimy z niej suchą stopą.

Potrzebne nam są chwile przerwy. Czasami wydaje mi się Max, że nie istniejemy, nie ma nas na moście, nie spotykamy wtedy wybitnych zdobywców świata, zbieraczy muszli, kolejnych bohaterów. Zasypiamy w głębokiej pościeli i nic nam się nie śni. Lubię spać Max, szczególnie jak nic mi się nie śni. Odczuwam ten stan jak dobrą

śmierć, jak wyzwolenie z marzeń. Chyba mnie rozumiesz, przede mną pojawiają się wtedy jasne pola, tablice z nieznanymi literami. Istnieję w sposób możliwie bezgłośnie wewnątrz czystego światła. Światło jest zawsze czyste, lekkie, puszyste. Widzę w nim ludzi przyszłości, jak rozdają ubogim bogate dary, ciepłe bułki, wygodne buty, nie traćmy dnia, wołają, nie traćmy dnia. Podlegamy rytmom wszechświata, czujesz to Max, czujesz ile rytmu jest w najprostszym zdaniu. Słowa płyną same bezgłośnie, stajemy się podobni do upadłych aniołów, do dalekich gwiazd, jesteście wolni, nasze flagi, opuszczone do połowy masztu, sygnalizują czyjeś odejście, ale to nie jest dla nas ważne, ponieważ wolność pozwala nam przewyciężyć pustkę jaka po nim pozostała. Nareszcie możemy mówić w sposób niezrozumiały dla innych, trwa wieczór planety i słońce nigdy już nie zajdzie. Możesz to nazwać wizją Max, miewam wizje w różnych kolorach i odcieniach bieli, opowiadam o osadnikach na odległych galaktykach, tworzę nowe przestrzenie, nowe pozy i figury na szachownicy, którą ktoś przyniósł do naszego pokoju. Ta gra dopiero się zaczęła, pijemy kawę z cukrem, rozpuszczamy w niej całą słodycz seksu i starych biszkoptów, których nie kupiłem, ponieważ zasłuchałem się w muzyce sfer, w ten odwieczny bełkot Max, w to napinanie cięciwy. Oratorium trwa nadal i zasypuje dźwiękami kolejne ziemie i wydmy złożone z lotnych piasków. Czy widzisz to Max, czy jesteś to sobie w stanie wyobrazić? Filozofia jest wobec tego bezsilna, wobec zastawionego stołu, obrusów przyprószonych mąką, najprostszych sformułowań, które nie poddają się logice. Kalendarz rozkręcony wokół czerwonych dat, liście ozdobione chorągiewkami, ruiny rozebrane na relikwie, śniadanie pośród swoich na krańcach nieznanego lądu są niewytłumaczalne. Przeplatamy pejzaż ciszą, klaszczemy na zawołanie. Już nikt nie wie kto wygrał tę walkę, a kto w niej przegrał ostatecznie. Można nas zastąpić byle kim, nasze statki już zaginęły. Ludzie zaczynają się niecierpliwić, ponieważ nasza mowa jest ciemna, a burza widoczna jest nad horyzontem zdarzeń. Nie ma to jak porządna rewolucja Max, należy ją rozpocząć przed pierwszymi sygnałami zniecierpliwienia.

Nasze dzieła zebrane Max, gdzie one są, dlaczego nikt ich nie zbiera? Na razie drę kartki, będące istotną częścią pierwszego tomu. Lecą na wietrze i nie chcą spaść na ziemię. Są zbyt śmiałe i za bardzo perwersyjne. Zaniósę je w stronę zamkniętych ogrodów, mnisich klauzul, w końcu przypominamy trochę mnichów, jakiś tajemniczy zakon ukrywający się za stalowymi wrotami. Za bramą są uporządkowane ścieżki, efekt pracy milionów bezimiennych ludzi, a my kołyszymy się na ogromnych wahadłach zepsutych zegarów ubrani w kolorowe, futurystyczne stroje i czerwone krawaty. Czerwień jest naszym kolorem, studium w czerwieni, pamiętasz Max, czytaliśmy to razem, ale nie pamiętam fabuły, na pewno była dosyć skomplikowana i z niespodziewanym zakończeniem. Lubię takie fabuły i dobre tytuły książek. Czytając można sobie zaproszyć oczy i wyobraźnię wieloma barwami tęczy. Pod powiekami przesuwają się wtedy sylwetki bohaterów, ogromne zwierzęta, powłoki wewnętrznych światów wzdęte jak brzuch dinozaura. Porównania przychodzą mi z taką łatwością. Piszę pisząc, tworzę tworząc, myślę myśląc, zapamiętaj to sobie Max, na tym polega istota sztuki. To, co jest na zewnątrz, staje się niewidoczne. Snujemy opowieści o pokoju i przyjaźni. Żałobnicy przyjdą później i będą opłakiwać piękno, dobro i prawdę. Przyjdą zaraz po głosie ludu i nikt ich nawet nie zauważy. Wszystko jest grą przypadku i wolnej woli. Tak tworzy się historię i tak powstają najwspanialsze idee. Mam tyle w sobie do zaoferowania innym. Jak na targu staroci, wyciągam z kapelusza obrazy i pordzewiałe lichterze, mówię do pustej widowni, walczę o wypełnienie jej widzami.

Max najczęściej nie widział tego, co dzieje się tak naprawdę pomiędzy rzędami. Pytał, czy oni nadal się kołyszają albo coś w tym rodzaju, a jego uduchowanie przekraczało niekiedy granice dobrego smaku i dobrego wychowania. Nikt mnie nie rozumie, żalił się cicho, nawet wizerunki świętych mężów brodate i porośnięte obficie włosiem. No, może z wyjątkiem tego jednego, do którego mam stosunek wręcz osobisty. To mój przyjaciel, pozorowałem poruszenia frykcyjne, a łysy jegomość poruszał wtedy cicho i z zadowoleniem mięsistymi wargami. Razem młodzi przyjaciele, powiedzcie mi tylko, dlaczego nic nie jest normalnie, dlaczego musimy podnosić te portrety coraz wyżej i wyżej, aż zaczynają odlatywać do sfer zastrzeżonych dla aniołów. Uwznioślijmy zwykłego człowieka, a nie jego wizerunki, tak będzie lepiej, jak spadnie z wysoka, to co najwyżej połamię sobie wszystkie kości.

Dzisiaj zawieszaliśmy sylwetki ludzi na naciągniętych nad ulicą linach. Powstawały z nich papierowe serpentyny, po których Max zjeżdżał w dół prosto na uliczny bruk. Wystarczy jedno pokolenie i wszyscy zapomną, jak to było dawniej, zdołają się przystosować do nowych warunków życia. Konie uwielbiają wędzidła udekorowane sztucznymi kwiatami. Biegają wtedy szybciej i szybciej i nie potrzeba ich już nawet poganiać. Piękno jest przydatne na co dzień, podobnie jak stal wytapiana w piecach hutniczych i węgiel do tych pieców. Max snuł opowieści o zamkniętych obiegach rzeczy, z których nic na zewnątrz nie mogło się wydostać. Osiągniemy w ten sposób tanim kosztem *perpetum mobile*, zwyciężymy na całej linii. Metafory zaczną znaczyć, pucybut stanie się milionerem, a milioner pucybutem. Poeci wygrają bitwę o słowa i będziemy musieli powstrzymywać ich poetyckie zapędy i dążenie do tego, aby przekształcić w wielki poemat cały świat. Piana na ustach, żar w sercu, w butli ślad laudanum, tak sobie wyobrażam jutrzejszy dzień Max. Musimy uprać tylko nasze skórzane kurtki i skórzane czapki, ponieważ trochę tu śmierdzi szczyną.

A w pudełkach, co jest w tych pudełkach? Są nasze zabawki z lat dzieciństwa. I my mieliśmy dzieciństwo, lepsze gorsze, ale zawsze dzieciństwo. Wystarczy tam zajrzeć, sprawdzić, są tam rzeczy, które kochałeś, nikt tego dotąd nie sprawdzał, co właściwie kochałeś Max. Główka Pinokia wygląda zza kurtyny, nasza tajna broń, zabawa w kłamstwo. Poczytam ci, moje szczęście, zgasimy całe niebo. Nieba nie ma, są tylko chmury z palącym się wolno opium i dymy maskujące prawdę. Tam nic nie ma, religia spleta się niebezpiecznie z wiarą, wiara z kościołem, kościół z ludźmi. Odwieczny taniec ułudy, ktoś musi to przerwać. Wsiądziemy na nasze drewniane wózeczki i wio, dogonimy echo, zagramy w karambolkę albo tysiąca. Nasze rocznice będą wspaniałe i wystawne, źle jest robić coś dobrze i nie znajdować zrozumienia u innych, tym bardziej, że niedługo będziemy musieli pójść do szpitala, ponieważ cierpimy na piękną, bolesną chorobę. Piękno i ból, odrobina szaleństwa, wyobrażenia o wiecznej młodości albo coś podobnego. Idee, które są wiecznie młode. Ich twórcy się starzeją, a one nie chcą się postarzeć, trwają na posterunku tak jak nieśmiertelne kurwy. Czy wyobrażasz sobie Max coś takiego, kurwę, która nigdy nie umiera i się nie starzeje. To byłoby piękne, wolność, równość, braterstwo, coś w tym stylu. Mieszmamy mak z popiołem, jak w bajce o złej macosze albo o czarownicy i o złotym kluczyku. Nasze plantacje zaczynają rodzić coraz więcej owoców, nasze szubienice skrzypią. Klęska urodzaju i tu i tu, zmęczone twarze zbieraczy, brak punktów oparcia. W izolatkach podają trujące napoje, aby skrócić męki nieprzekonanym, Czas się wypełnia, a rzeki płyną do morza.

Tak rozmawialiśmy niespiesznie i rozważnie, leżąc pod białym prześcieradłem i rozgrywając pod nim skomplikowaną partię pokera. Kolejne dzieło Max, kolejne nasze dzieło. Czy nie napisaliśmy już ich zbyt wiele, czy nie brudzimy nadmiernie tego świata stronami zaczernionego papieru. To przerażające, biblioteki wypełnione skórzanymi oprawami książek, robactwo lęgnące się w korytarzach przepastnych budowli. Po co sobie brudzić ręce Max? Lepiej wyjdźmy na świeże powietrze, przyjrzyjmy się rzekom płynącym wzdłuż gór, życiodajnym systemom nawadniającym pola ryżowe, posłuchajmy echa dalekich miast, które trwają gdzieś w przestrzeni pomiędzy słońcem a niebem. Niedługo zawołają nas na obiad, obiady jadamy zawsze około godziny drugiej w południe, ale tak naprawdę Max, nadal nie wiem, kim jesteśmy, skąd pochodzimy, w jaki sposób wyłoniliśmy się ze słów tylko po to, aby do nich ponownie powrócić. To straszne, taka niepewność egzystencji, zawieszenie na cienkiej nitce, która w każdej chwili może się zerwać. Wystarczy zamknąć stronę i już nie istniejemy, dlatego starajmy się żyć w miarę mocno i rozpustnie, kolekcjonujemy ludzi jak zabawki, zbieramy ich twarze, ich odbicia na piasku. Ważne są też kobiety, ich powinniśmy zebrać jak najwięcej. Czas płynie im szybciej i dlatego tak niespokojnie patrzą na nasze podbrzusza. Święty kutas Max, to jest to, na co naprawdę czekają. Nie na czysty seks, raczej na uświęcenie i celebrę. Pozwolimy im na wycinanie fallusów w linoleum, na gryzienie pestek słonecznika, każemy nosić niewidzialne drewniaki, które obedną im stopy. W naszej rzeczywistości krew płynie całymi strumieniami. Jesteśmy coraz bliżej szaleństwa Max, polityka to rzecz szaleńców, literatura to rzecz szaleńców, tylko oni się liczą.

Dzisiaj ponownie wracamy do krainy naszego dzieciństwa, mamy przy sobie całe naręczna baloników i książeczek z perwersyjnymi ilustracjami. Oczywiście nie każdy może osiągnąć od razu mistrzostwo świata w podcieraniu tyłka, ale musimy jakoś zacząć. Życie ma swoje prawa i niesie ze sobą wiele obowiązków. Poddajemy się wtedy potokom słów, które krążą uparcie wokół naszej głowy. Mamy zbiorową głowę Max, kolektywne myślenie ma przed sobą wielką przyszłość. Zauważyłeś na pewno, jak ludzie przywiązują się do rzeczy. Musimy to w nich zwalczyć, otworzymy biura rzeczy porzuconych przy drogach, zabranych nad ranem, spakowanych do tobołów i jazda, tak będzie dla nich najlepiej. Człowiek wolny od przedmiotów osiąga stan doskonałej wolności w ogóle. Bramy raju nie są materialne, broni ich czysta miłość i absolutne oddanie. Zabawy trwają tam wiecznie i mają charakter ściśle intelektualny. Będziemy musieli to wytrzymać, ostateczną i nieodwołalną szczęśliwość. Niekiedy tylko przypomni się nam drewniany samochodek ciągnięty na sznurku, hotele wycięte z tektury, lalki z urwanymi rączkami. Aniołowie do specjalnych poruczeń pomogą nam się odnaleźć w niebiańskiej przestrzeni. Nie ma to jak fachowi opiekunowie i kilka strażnic uniemożliwiających ucieczkę do piekła. Będziemy bawić się bez końca i bez początku, piaskownic nigdy nam nie zabraknie, samych gier towarzyskich będzie około tysiąca, człowieku nie irytuj się, chińczyk, makao. Dostojne i piękne kręgle nigdy nie będą już upadać na podłogę. Poznamy wiele rytuałów powitalnych, mitów władzy najwyższej, kultów spotkań na szczycie, obrzędów zamkniętego gabinetu. Są to słowa trudne do odmienienia i wypowiedzenia, ale czego nie robi się dla innych. Twarz innego prześladowuje mnie, Max, od pewnego czasu nieustannie. O co w tym chodzi, czy można dać w twarz twarzy innego, najchętniej bym to zrobił i miał nareszcie święty spokój. Stąd musi być jakieś wyjście, ale po co wychodzić, jeżeli wszędzie jest tak samo? Coraz bliższa jest mi filozofia równowagi, poziomej linii, która biegnie bez końca i wszędzie jest do siebie podobna. Wiemy, że przecież nie zdarzy się nic, nasze izby chorych zamienią się w muzea puste i piękne,

gdzie z fontann będzie wypływać lemoniada, a każdy ze zwiedzających otrzyma ptysia, słodki knebelek na mordkę, kroplę największej rozkoszy, wydobywającą się z drewnianego patyczka.

Moje wizje Max, moje wizje. Widzę, jak jesteśmy pomalowani na biało i na czerwono, jak koguty i pawie, zamieszanie barw, schronisko pod spłowiałymi piórami. Pod ochronną siatką siedzą nabrzmiałe lotem ptaki, mają pół nieba pomiędzy pazurami i popiół ziemi w oczach. Gubimy je w cieniu starych ksiązek, a białe kruki wznoszą się coraz wyżej kiedy sprzątamy półki po nieważnych już subskrypcjach i czyścimy klamry nigdy nie otwieranych inkunabułów. Zamknięte na stałe żelaznymi gwoździami strony oczekują w skupieniu na znawców starożytnej poezji, na wypchane trocinami modele odczytywania kropli mieszczących się pomiędzy wierszami. Siedzę na gałęzi splecionej z drutu, zawieszony na ostatniej nici łączącej mnie z życiem. Moje szanse maleją, teksty wikłają się w labiryntach aluzji i odniesień do innych tekstów, rodzą zamknięte na głucho klatki, do których nikt nie ma już kluczy. Nieustannie za drzwiami do mojego pokoju zmieniają się dozorczy, całe stada dozorców wpatrujących się uważnie, czy nie staram się uwolnić z tego więzienia. Ich postacie przypominają, wycinane niegdyś na plaży z czarnego papieru, sylwetki, dopasowują się dokładnie do ptasich labiryntów i tajemniczych wejść prowadzących do miejsca, gdzie spoczywają lekkie rękopisy, kości ksiąg wypełnione powietrzem wydmuchanym z inicjałów i barwnych ilustracji pomieszczonych na marginesach zapomnianych już kartek. Wejścia są najwyraźniej okrągłe, doskonałe, przeszukamy je uważnie Max, może dzięki nim trafimy na platformy zawieszane nad przepaściami ludzkiej wiedzy, osiągniemy stadium doskonałości nasycone eklektyczną miazgą, złożoną z rozlicznych cytatów i złotych, skrzydlatych myśli.

Wszystko zamienia mi się w słowa Max, penis, ręce, usta. Piękna choroba, która toczy mnie od dawna. Nie trzeba nawet myć rąk, w tym pomieszczeniu przeważają czystość i niewinność, wolność skojarzeń, stare wyprane szmaty. Po pracowicie przepracowanym dniu dostaniemy miski z padliną, którą jakoś da się strawić. Pisać można na papirusie, na oślej skórze, na liściach zerwanych z drzew, na twoich dłoniach, na ciele modelki, trudniej jest z usuwaniem znaczeń, tym będą musiały zająć się specjalne brygady dementorów, ale jakoś sobie na pewno w przyszłości poradzimy. Nie wszystko, co napisali ludzie, jest wartościowe, święte księgi zdarzają się na szczęście rzadko i łatwo jest je ocenzurować. Z naszej biblioteki wyjdziemy w porze snu gospodarzy, nie zorientują się, że wynosimy kilka egzemplarzy, aby przemielić je na papkę łatwiejszą do strawienia przez prostego człowieka. Wyniosę kilka ptaków i zamknę je na strychu, może tam nie zdechną i doczekają nowego, szczęśliwego świata, lepszego jutra, prawdziwej kosmogonii poruszanej bezgłośnie własnym bezwładem.

Czekając na lepsze jutro, słuchaliśmy z Maxem starych ballad o zielonych rękawach i wielkiej, porażającej miłości. Obok nas płynęły po wyschniętym piasku łodzie, ponieważ nasza pustynia nie potrafiła zamienić się w morze, a słowa o pożegnaniu nie potrafiły przywrócić nam ukochanej osoby. Pamiętaj o wewnętrznym rytmie, mówił Max, on jest najważniejszy, on nas stwarza mimowolnie w czasie, kiedy nikt inny nie może nam pomóc. Żyjemy w szklanym naczyniu, akwarium o ostrych brzegach, napełnieni myślą o czasach, które mają niebawem nadejść. Poezja jest niezbędna podczas stwarzania nowych światów, później wystarczy proza. Trwaliśmy tak długo, aż Max rozbił szklane szyby, twierdząc, że całość nie zawsze składa się z konstytuujących ją części, a marionetki i tak nie osiągną nigdy pełni życia. Nasza mowa stawała się coraz bardziej ciemna, jej odcienie opalizowały

pomiędzy czernią i pustką, rozregulowane wewnętrzne mechanizmy sprawiały, że nasze rączki i nóżki poruszały się coraz bardziej bezwładnie. Karuzela dążeń, celów, nadziei, pragnień kręciła się coraz szybciej. Tryby warunkowe i przypuszczające rozpoczęły swoją niezauważalną wcześniej pracę. Nasze ciała ulegały pożądaniu i starały się odnaleźć drugą połowę jabłka zagubionego w raju. Przecieraliśmy oczy brudnymi rękami metafor i porównań, aż zaszyły mgłą i przestały widzieć różnice pomiędzy dobrem i złem. Siatki powidoków domagały się bardziej pełnego spełnienia, wyrazistych rysów, sylwetek zarysowanych na mocnym tle rzeczywistości. Myślałem tego poranka o dziecku elfów, o dziewczynce, która nie chciała wyjść za mąż za kreta. Nie ma jak piękna opowieść Max, musimy taką stworzyć, ona będzie naszym prawdziwym istnieniem, opowieść o sprawiedliwości i równości, o wolności i tego typu iluzjach. Później trzeba ją będzie dobrze sprzedać, wyszeptać z ucha do ucha, zatopić w światłości porannej, pozwolić, aby przeniknęła do delikatnego ruchu oceanu odpływów i przypływów. Zwiążemy ją z samą naturą i dzięki temu powróci pomiędzy ludzi echem, którego nie można będzie nie zauważyć. Na pewno nam uwierzą, ponieważ każdy chce wierzyć w bajki opowiadane przez mędrców i stare kobiety. Ty będziesz mędrce Max, ja mogę się przemienić w starą kobietę. Zawsze chciałem nią być i mieć dzięki temu wiele zmarszczek w miejscach intymnych.

Będziemy walczyć do końca Max, do końca, koniec uświęca dzieło, na przekór wszystkim i wszystkiemu. Będziemy poruszać się w pętli wielkiego powrotu, w odmętach utraconego czasu i straconej przez nieuwagę godziny. Ona potrafi się niebezpiecznie przedłużać albo skracać, potrafi sprawić, że pięć lat zamieni się w trzy, a dziesięć w dożywocie, może trwać przez całe dziesięciolecia, zmiękczać dziąsła i sprawić, że niektórym z nas zaczną wypadać zęby. Nie ma na to rady, taka jest prawidłowość dziejów, którą odkryliśmy o świecie w obliczu jutrzynki różanopalcej. Aurora, jakie to piękne słowo. Każda sekunda jest ważna, mówił Max, wykorzystajmy ją na zbieranie informacji o sobie i o innych, musimy ją odnotować i zachować dla przyszłych pokoleń. Na naszych chronometrach na razie nie ma wskazówek, ale już wkrótce pojawią się cyfry wyświetlane dzięki nowym systemom liczenia czasu oraz wiadomości codzienne podawane ludziom do wierzenia. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, wystarczy poddać im odpowiedni ton i barwę wierzeń, a będą gotowi stworzyć nowe kościoły i nowych proroków. Migotliwa płynność, dobre uczynki, szczęśliwe dni, które muszą nadejść. Wszystko mamy w zanadrzu, wszystko można obiecać. Wyższe i niższe nadejdą jednocześnie, wieczna pogoda utrwali nieustanny wzrost zbóż i lasów, drogocenne kamienie będzie można znaleźć na rozstajach wszystkich dróg. Nasze zegary będą chodzić aż do końca świata wskazując najwyższe wartości i jednocześnie cenę, jaka przyjdzie nam zapłacić za odmierzenie nieustannego przypływu. Zatrudnimy wielu mechaników, którzy będą w stanie naprawić wszystkie zepsute mechanizmy. Człowiek-maszyna, idealne stworzenie o kryształowych oczach i stalowych płucach. Postęp jest w tej materii niezbędny, podobnie jak dokładność działania i współzawodnictwo pracy. Wystarczy nakręcić jedno koło, a potoczą się doskonałe kule, ruszy lawina, o jakiej dotąd się nikomu nawet nie śniło. Oczywiście wszystko jest normowane rozmiarami naszej matuszki Ziemi, ale bez przesady, i to da się przezwyciężyć licznymi podróżami w Kosmos. Mierzmy zamiary według sił, razem młodzi przyjaciele. W tym momencie Max dał się ponieść emocjom i jak człowiek natchniony lub oświecony niespodziewanie przez wielką ideę uleciał ku górze, by za chwilę opaść na złoty blat, na którym leżały porozrzucane niedbale odłamki żelaza, stare siekiery i młoty, kilka sierpów i dzielna przodowniczka pracy gotowa do walki i obrony. Złoty środek jest nudny, powiedział Max, oprócz

środku młodej kobiety. Tu mój przyjaciel zaśmiał się oblesnie i zaczął pożądkliwie spoglądać na przodowniczkę, która niedbałym ruchem rozchyliła swe prężne i młode nogi.

Staliśmy kiedyś z Maxem pod gablotą z ogłoszeniami drobnymi. Czego tu nie było? Pełna para szła wymiana duchowych i materialnych wartości, galeria nieskończonego pędu ku rzeczom doskonałym i pełnym wigoru. Napisy o matrymonialnej treści walczyły o lepsze ze sprzętem kuchennym, a starzy mężczyźni poszukiwali leków na prostatę. Skomplikowany system przedpłat pozwalał na kupienie wszystkiego za pół darmo, podobnie jak informacje o przetargach, bonusach i miejscach, w których odbywał się pokątny handel. Max uwielbiał czytać o ludzkich losach wyłaniających się z gabloty, o namiętnościach i grzechach, ponieważ zawsze uważał, że człowiek to brzmi dumnie i nic co ludzkie, nie było mu obce. Musimy stać się bardziej ludzcy, twierdził, aby później spokojnie móc zachowywać się nieludzko. Wokół gabloty roztaczał się delikatny zapaszek podniszczonych mebli i zepsutych zabawek. Max często cytował w swoich pismach treść ogłoszeń, chcąc w ten sposób podkreślić związek z prostym ludem i wiedzę na temat spraw, jakimi zajmują się zwykli obywatele. Samotny poszukuje samotnej, czyż to nie jest piękne, ile w tym treści, ubogi bogatego, wielki małego, gruba chudego. Należy się modlić o powodzenie w życiu, o uleczalne choroby, o nieszczęścia szczęśliwie zakończone, o kary śmierci przerwane w ostatniej chwili listem powiadamiającym, że zamieniono nam stryczek na dożywotnie więzienie. Dzięki takim przeżyciom staniemy się bogatsi wewnętrznie, nasze oblicza rozświetli światło pewności siebie i siły moralnej, zaczniemy wtedy hodować niebieskie kanarki i żółte psy myśliwskie, wszystko będzie znowu możliwe. Pomyśl o eschatologii stosowanej, o trudnych słowach, które nie każdemu są dostępne, pomyśl o hasłach na dziś i na jutro, o tych wszystkich biednych jajogłowych, którzy od rana ślęczą nad książkami i wpatrują w ekraniki swoich komputerów, o ich pozornych wzlotach i upadkach kończących się na czubku łysej czaszki. My będziemy inni, będziemy preferować ciężką fizyczną i wolę mocy, stłuczemy wszystkie skorupy i wychyli się z nich treść istotna, walka klas dopiero się zaczyna.

Pamiętam, że staliśmy wtedy z Maxem na dziedzińcu starożytnego pałacu, przyglądając się uważnie pomnikowi wielkiego krzesła, na którym ktoś położył jeszcze większe jajko. Lubię jajka, mówił Max, lubię też jaja, z pełną wieloznacznością tego określenia. Komu oddamy wszystkie pałace, zastanawiał się mój przyjaciel, kto będzie w nich mieszkał? Najlepiej byłoby je zburzyć i zostawić jeden dla przykładu i nauki dla potomnych. Zrobimy to, przynajmniej w pewnym zakresie, ponieważ nic nigdy nie udaje się ostatecznie, a każdy cień niekiedy odrywa się od swego właściciela. Dlaczego wszyscy wstydzą się tego, czego nie potrafią, dlaczego tyle sensualnych doświadczeń nie jest nam danych. Ja na przykład nigdy nie zjadłem całej skorupki z jajka i nie byłem na księżycu. To niesprawiedliwe, tyle jest jeszcze przed nami, rozmarzył się Max, tyle dokonań i wrażeń. Potrzebny jest nam jedynie upór w dążeniu do celu i widelec, ponieważ kiedy ma się widelec, z człowiekiem można zrobić wszystko. Socjotechnika, mój drogi, zaczyna się od widelca i od prób postawienia jajka na stole, nie każdy może to zrobić, podobnie jak nie każdy zamieszka w tym jednym, jedynym pałacu.

Max, pamiętam, uparcie co rano powtarzał gest Krzysztofa Kolumba, nie bacząc na rozlewającą się zawartość kolejnych kurzych jajek oraz trudności z pozbyciem się zabrudzonych nieistotną już treścią skorupki. Jajo to istota świata, mówił, w nim mieści się cała filozofia oraz refleksja nad teraźniejszym i przyszłym życiem

społecznym. Nie chce mi się tego teraz szczegółowo tłumaczyć, ale myślę, że kolejne pokolenia filozofów rozumieją, o ile oczywiście wszyscy oni nie umrą w skutek śmierci głodowej, o co mi chodzi. Jest w nim cała konstelacja oraz głęboka myśl eschatologiczna i post-eschatologiczna. Nieprzypadkowo chrześcijanie tak się uczepili malowanych jajek. To mądrzy ludzie i dzięki swej religii przeczuwają oni dogłębnie sprawy, o których nawet filozofom się nie śniło. Musimy się im przyjrzeć uważnie, podobnie jak i innym religiom i obyczajom, czy nie znajdziemy tam czegoś dla siebie. Zrobimy to niechybnie, jak już wypalimy wraz z prostym ludem cały ładunek tego paranoicznego opium, nazywanego niekiedy wiarą. Musimy mieć tęższe głowy i silniejszy zmysł powonienia niż inni, naszym zawołaniem stanie się Cała Skorupa, co nie oznacza, że sekta jajogłowych będzie przez nas tolerowana. Ich też się pozbędziemy, ponieważ zbyt wiele ze szlachetnej formy jajka przeniknęło do reprezentowanej przez to stowarzyszenie, podejrzanej ideologii.

W trakcie naszych codziennych czynności porannych na dziedzińcu wjechał wóz ciągnięty przez smutnego konia poruszanego delikatnymi uderzeniami bata, znajdującego się w ręku tajemniczego woźnicy. Czyżby to była osławiona kobyła historii, zdziwił się Max? Wygląda dość niepozornie, ale, zauważ, kopyta ma ogromne i spory odbył. Można tam wiele zmieścić, zanim się ją zajeździ, ale jak tego nie zrobię, zbyt kocham zwierzęta, zresztą wstydzilibym się tego haniebnego aktu później przez całe moje życie. Zawsze wstydzę się tego, czego nie zrobiłem i nie chciałem, aby teraz było odwrotnie. Wracajmy lepiej do naszego pałacu, ktoś musi w nim zamieszkać i posprzątać po ostatnich imprezach. Odczuwam coraz mocniej imperatyw twórczy oraz twórcze pragnienia i chciałbym być za to dobrze wynagradzany. Cel jest wszystkim, prawda niczym, albo odwrotnie. Czy zauważyłeś, że każde odwrócenie starożytnych maksym ma sens i przynosi nam nowe, twórcze możliwości? Uwielbiam to robić, tyle jest jeszcze przed nami, musimy o tym pamiętać, a za nami najwyżej kilka błędów i wypaczeń popełnionych mimowolnie i przypadkowo w czasie, w którym intencje były szlachetne, a nadzieja ogromna i ogarniająca masy ludzkie, oczywiście pod naszym wyrazistym i nie do końca uświadamianym, szczęśliwym kierownictwem

Miałkość, mówił Max, martwi mnie miałkość współczesnej myśli. To nie może tak być, musimy i my posypać głowę popiołem zmielonym na proch w największych bibliotekach świata. Czytamy za mało, trawimy przeczytane zbyt wolno, potrzebna jest myśl oryginalna, bliska myśli prymitywnej i prymarnej, to ona zbawi świat, ona wyrówna szanse wykluczonych i porzuconych przez los. Taka myśl buchnie najczystszym płomieniem, porazi mocą. Potrzebna nam jest ogromna kuźnia myśli, kilku kowali, jakiś Hefajstos z barami na schwał, potrzebne potężne miechy i nowe alegorie, tych nigdy nie jest za dużo. Czuję już na plecach ożywiony duchem dziejów gorący oddech historii. Najpierw jednak ten oddech musi wszystko wypalić aż do gruntu, puścić z dymem, aby można było wszystko odbudować. Cykl zniszczenia i odrodzenia, czy nie jest to piękny obrazek, pytał Max, czy nie jest piękny? Jest to obraz potężny i bardzo męski, wtórowałem, od iskry aż po nogawki spodni, przypomina tradycyjne ruchy siekierą najwybitniejszych kowali świata. Ziarno oddzieli się od plewy, powtórzymy dzieło stworzenia, które nie było dotąd nadmiernie doskonałe, kujmy żelazo póki gorące, oddawajmy się od rana krytyce czystego rozumu. Chleb powinien być ziarnisty i dobrze wypieczony. O co ci chodzi Max, skąd nagle wzięłeś chleb? Biorę z niczego, później daję nic, bilans się zgadza, moja sztuka ma wymiar ściśle conceptualny, mogę w niej wykorzystywać absolutnie wszystko. Wynika to z wieloletniego doświadczenia i pewnego treningu w laboratoriach doktryn i mak-

sym. My artyści możemy zjeść nawet kawałek zaoranego pola, pełną skibę i oblizać się później ze smakiem. Ziemia to majątek, ale ważniejsi są robotnicy, oni są solą ziemi, a piekło jest w nas, dodałem i poszedłem się zdrzemnąć, ponieważ zauważyłem, że wszystkie klamki w okolicy już zapadły, a proletariusze połączyli się ze sobą w dosyć monotonnym, choć niepozabawionym akcentów seksualnych tańcu śmierci.

Pamiętasz Max ten słynny teatr o grze w zabijanego? Pamiętam takie rzeczy z przeszłości, a teraz jest tak, jakbym zupełnie stracił pamięć. Nie lubię teatru dokumentalnego, zaangażowanego, współczesnego, nawiązującego do. Mam to gdzieś, my poeci i wizjonerzy przyszłości mamy wiele rzeczy gdzieś, kochamy slogany rozlepiane na murach, kurtyny pełne kurzu, kurtyzany, brak hamulców moralnych, niedojrzałe jabłka, dojrzałe kobiety, mógłbym tak wymieniać bez końca. Jesteśmy ludźmi doświadczonymi przez los i historię, której nie udało się nas jak dotąd zabić. Lubimy się spowiadać w pustych konfesjonałach i stroić w cudze piórka. Nasze zaangażowanie w sprawy tego świata jest dosyć względne, a sprawy tamtego świata też nas do końca nie pochłaniają. Jesteśmy ludźmi małej wiary i sporych kutasów. Mówiąc to, obserwowałem Maxa, który na przemian czerwieniał i bladł jak biały orzeł w krwawym polu. Wiem, że mój przyjaciel nie lubi ludzi nadmiernie elokwentnych, ponieważ jest filozofem, dla którego istotna jest spójność jego doktryny, a nie twarz, a tym bardziej potok słów innego. Max postanowił, że jedynym wyjściem z sytuacji będzie wykonanie jakiejś prostej i jednocześnie absurdalnej czynności. Rzeczy przeciwko myślom, myśli przeciwko rzeczom, wszystko przeciwko ludziom, ludzie przeciwko sobie. To „sobie” mnie niepokoi, ponieważ nie ma w języku polskim dla niego odpowiedniego przeciwieństwa, może „dla siebie”, albo „chów wsobny”, same bzdury. Dlatego rozkopaliśmy wielkie mrowisko i pochwycili mrówki, które Max rozsiał pomiędzy ludem, aby zarazić wszystkich skrzętnością i pracowitością. Lud powinien być pracowity, w przeciwieństwie do panujących. Tak było, jest i będzie, tym bardziej, że mrówki potrafią przetrwać najcięższe czasy i ewentualną wojnę atomową. Będziemy je hodować nieustannie i włączymy do naszych haseł o szczęśliwej ludzkości. Naturalna mieszanka miłości i oddania w połączeniu z dużą dozą bezmyślności.

Powtórz to Max, powtórz jeszcze raz i zrozum, że przywołujesz same abstrakcyjne pojęcia, których nie można zweryfikować. Sztuka polega na czymś innym, na kołysance śpiewanej dziecku, na jego oddechu, na pejzażu za oknem, na patrzeniu aż do bólu oczu w tarczę słońca. Lepiej wracaj do swoich mrówek, przenoś mrowiska z miejsca na miejsce, stań się zrozumiałą, opowiedz coś o kolektywnej pracy, wtedy wyglądasz bardziej prawdopodobnie, o ile oczywiście ty w ogóle istniejesz, a nie jesteś jedynie wytworem mojej chorej imaginacji. Popatrz na królową tego mrowiska, jest większa od wszystkich innych i najwidoczniej cię lubi, ponieważ patrzy na ciebie zalotnie spoza długich, królewskich rzęs. Narysuj ją sobie, rysowanie jest formą istnienia, o którym tyle mówisz. Na rysunku będziesz mógł ją posiąść delikatnie i czule, palce olbrzyma, twoje palce Max musną jej wąski odwłok i wtedy pojawi się na niebie nieznaną, dziką planetę. Myśli przestaną płynąć, a miód wypełni wasze zwierzęce serca. Bądź raz Max po stronie zwierząt, przestań mówić o nagromadzonym kapitale i parszywych pieniądzach. Pamiętaj, że pismo zabiło pamięć, a obrazy wizerunek Boga. Zrób coś wreszcie pożytecznego, na rysunku i w sztuce przecież wszystko jest możliwe. Podobnie jak w opowieściach. Opowiem ci piękną historię miłości, która wydarzyła się w pewnym miasteczku na kresach naszej planety. Będzie to opowieść również o złej namiętności, podsycanej przez wiatr płonący żywym ogniem pośród rozrzuconych na stokach gór. Wczuj się w ten

rytm Max, pomyśl o domach zamieszkałych przez szczęśliwych mieszkańców, o okiennicach drżących pod muśnięciem górskiego powietrza, o mojej prozie przemieniającej się w poezję, o sobie i o tym, że tak naprawdę możesz w każdej chwili zniknąć dzięki decyzji autora tego tekstu. Czy cię to nie martwi Max, kim ty do kurwy nędzy tak naprawdę jesteś? Wróćmy jednak do naszej opowieści, popatrzmy na gwiazdy, na które najlepiej patrzy się przez dno butelki. Tego lata dokona się połowa naszego życia Max, a druga będzie jeszcze bardziej odkrywczą i przepełnioną skomplikowaną i jednocześnie jakże aktualną myślą o doli i niedoli społecznej. Tak będzie i nic już tego nie zmieni. Nie wyznaczajmy żadnych granic, granice wywołują konflikty i chęć przemytu niektórych towarów, łączmy się ponad nimi, zlikwidujmy przemyt i kontrabandę, świat stanie się bardziej szczęśliwy. Popatrz na miejsce, w którym się znaleźliśmy, to część naszej opowieści. Na poręczach łóżek trwa dyskusja o naturalnym poczęciu, modelki przechadzają się po wykwinnych materacach, mają autentyczne sztuczne włosy i wypchane biusty. Są powszechnie dostępne, tak jak to przepowiadałeś Max wiele lat temu. Ty zawsze masz rację, wprowadzie łączy się to z lekkim zniecierpliwieniem i irytacją, ale co robić, jakoś te sprawy musimy rozwiązać. Musimy ulec nastrojom, których jeszcze nie zdołaliśmy ostatecznie zdefiniować, pamiętać, że plastry na oku nie zawsze zasłaniają ubytki w mózgu, że większe zabija mniejsze, mniejsze podgryza większe, a równi pośród równych przeciągają na swoją stronę małe płotki. To co moje będzie wspólne, to co wspólne będzie nasze, idea ulegnie materializacji, a materia przeobstwień. Rozpocniemy wszystko od początku, taka gra w czarnego luda i gąski, gąski do domu.

Max, słuchając moich słów, kiwał głową ze zrozumieniem. Wiedziałem, że jest to sygnał, abym przestał mówić i zajął się czymś konkretnym. Postanowiliśmy pójść do pobliskiego kasyna i zagrać o najwyższe stawki. Na ścianach tego przybytku królowały krzywe zwierciadła, a ściany wyłożono drogocennym szylkretem. Fałszywe żetony walały się pod ścianami, a ruletka przypominała wielkie oko Polifema, wybierającego spośród nas swoje ofiary. Lubię atmosferę dekadencji i znużenia, mówił Max, widać wtedy jasno, że wszystko musi ulec zmianie, ludzie, obyczaje, wszystko. Wyzyskiwani przejmą władzę, a my im w tym pomożemy. Założymy tu wzorcowe przedszkola, kina wyświetlające zmysłowe i lubieżne filmy zamienimy w sale posiedzeń rozlicznych rad narodowych i miejsca wystąpień publicznych. Podobny los spotka też restauracje, nie mówiąc już o kościołach i burdelach, co rozumie się samo przez się. W opuszczonych salonach będą rezydowały pełnomleczne mamki nianzące nasze dzieci, a biały pełnotłusty ser będzie spływał po marmurowych schodach. Kankan przejdzie do historii tańca, podobnie jak opiumowe tynktury i syfilis porażający męskie ciała. Skończy się epoka przesytu danego nielicznym i zacznie epoka niedoboru danego wszystkim. Tak będzie lepiej, chyba że wtrąci się w to całe zamieszanie sztuka.

Kochasz sztukę mój przyjacielu, wydaje ci się, że ma ona w sobie zbawczą moc, że może uleczyć i ukoić nawet największy ból istnienia. To oczywiście nie jest prawda, ale pozwolę ci w to wierzyć, ponieważ wiem, że sen w cieniu liści akantu dobrze nam zrobi. Pamiętaj zawsze o przestrzeni pomiędzy falą morską i brzegiem, lotem ptaka i samym ptakiem. Pamiętaj, że w sztuce liczą się emocje, nie myśli i obrazy, a nie słowa. Dlatego można w niej karmić zwierzęta sieczką z podartych kart, rzucać perły przed wieprze, przechadzać się o zachodzie słońca pod palmami nadmorskiej promenady. Musimy ulec nastrojowi, którego jeszcze nie ma. Polecam ci ten stan nieobecności, niepewności, niedopełnienia. Można wtedy wiele dokonać, na przykład zapisać światło i cień, układające się na markizie pobliskiej kawiarni, zobaczyć dysk przelatujący nad głowami widzów w minionych już czasach, zdjęć

ciężkie suknie przytłoczone kaskadą pereł i diamentów, zobaczyć, jak okna układają się w mozaiki wypełnione miodem i cykutą. Sztuka, podobnie jak mój wrodzony cynizm, wymaga wielu ofiar i wytrwałości, potrafi gnój zamienić w nawóz a oborowego w Herkulesa. Ostatnio przybyło nam herosów i musimy ich pilnować, aby nie wymknęli się spod kontroli.

Od tego poranka przebywaliśmy z Maxem w pięknej krainie uśmiechu. Było tam sporo czarownic, które spacerowały po ulicach lub bawiły się srebrnymi miotłami. Zdejmowaliśmy z nimi pończochy, aby przywołać złe i dobre duchy, latali z zapalonymi świecami w rękach, zastanawiając się nad ludzką przyziemnością. Max domagał się więcej realizmu w sztuce i to realizmu krytycznego, ja krytykowałem symbolizm i formalizm, mając w pamięci kształt sutka pewnej młodej wiedźmy. Nasze wewnętrzne organy pojawiły się na wierzchu, a to, co było zewnętrzne, ukryło się w głębokim wnętrzu ciała. Nie ma jak kontrolowana groteska i widzenie świata na opak. To pomaga przetrwać biednym ludziom, ale seans nie może być zbyt często powtarzany, bo mogłoby się im poprzewracać w głowach. Najważniejsze są stosunkowo wolne wybory i demokracja znajdująca się pod stałą, czujną kontrolą. Max prezentował różne sztuczki, chcąc udowodnić, że ma rację. Na przykład wydobywał dym z pudełka po zapalniczkach, wskazując na istniejący niegdyś w pudełku płomień, prowadził linię prostą, załamując ją nieco na krawędziach, prosił o łaskę zakończoną sztyletem, aby móc nią przebić królika schowanego w cylindrze. Wszystko to nie miało raczej sensu, ale podobało się czarownicom, które były zachwycone moim przyjacielem i zachęcały go do dalszych trików. Max szeptał wtedy im upojnie opowiadając, jak to było dawniej, kiedy Szatan i Bóg wiedli ze sobą poważne i ostateczne spory. Noc pochłaniała nas coraz bardziej, a fajerwerki ukazujące się na ciemnym niebie oświetlały mojego przyjaciela, który stojąc pod fontanną, głaskał czule rude włosy kolejnych szalonych kobiet. Przypominały starożytne menady, starające się rozerwać mojego przyjaciela na strzępy. Jednak przepełnieni poezją filozofowie nie ulegają tak łatwo, mają silny kręgosłup i wysokie morale, a karnawał potrafi ich jedynie na chwilę oderwać od myśli płynącej przez nich nieustannie w stronę tajemniczych masek i korowodów z róż. Pozostaje jak zawsze obraz. Tym razem najbardziej podobał się nam ten, ukazujący ubraną na czarno kwiaciarkę, niosącą naręczą białych kwiatów, które z wolna osuwały się na trotuar pokryty siatką uplecioną z rudych, obciętych u nasady czaszki długich włosów.

Nie ma jak egzaltacja Max, wybija profile utkane ze zmęczonego różu, przenika miłośniczki poezji. Puszki po soku pomidorowym można ustawić na parapecie i strzelać do nich strzałami Kupidyna. Coś pozostaje pomiędzy warstwą potu na twarzy a urodą współczesnych modelek. Można już dzisiaj opisać wszystko i wyrzeźbić wielkie Nic. Sztuka nie ma granic. Można też przekonywać do Niczego i po co te wielkie litery Max, po co to całe gówno kaligrafii. Absolutne zero przenika kosmos, a nasza skóra starzeje się w zastraszającym tempie. Nie ma na to rady i dlatego musimy iść zawsze na przód, nie wolno nam się zatrzymywać ani patrzeć wstecz. Tam są już tylko stada motyli i pokłady delikatnego puchu. Musimy iść po nich aż do zatracenia, musimy uzyskać stan Łaski bez religianckiego uświęcenia. Nasze ulice będą jasne i czyste, utniemy ręce, które wciągają ludzi w otchłań nabożnego mroku. Nasi bohaterowie będą szybsi od światła i normalna ludzka źrenica nie będzie mogła ich ostatecznie dostrzec. Nasze oczy Max, są nadal zbyt wolne, aby zobaczyć prędkość, z jaką zmieniają się obecnie czasy i ludzie. Musimy je przyśpieszyć, ćwiczyć uparcie w otaczającej nas mgłę, w oparach ze spalonego drewna i wytrawnego wina. Dobra jest też krew, jej czerwony posmak spijany z ust towarzyszek broni. Inaczej czas przepłynie nam

między palcami i pozostaniemy całkiem sami.. Moje życie jest monotonne Max, publiczność nie lubi takich przywódców. Musimy kogoś zabić albo pochować żywcem. Urodzeni mordercy zawsze wychodzą na łów w czasie rewolucji. Nikt nam nie wierzy Max, że to się uda, a my wniebowstąpimy, znajdziemy się na pomnikach, nasze portrety zostaną wyryte na stokach szklanych gór diamentowymi wiertłami. Jesteśmy jak lunatycy, tkamy nici snu o jutrzejszej potędze. Nasze księżycy świecą coraz jaśniej i napełniają kobiety srebrną przędzą. W nocy może wydarzyć się prawie wszystko, białe galaktyki zmieniają wtedy swój bieg, a my idziemy po niepewnych, niewidocznych ścieżkach jak po kwiatkach mleczu i nasze nasienie zapładnia kolejną planetę. Uwielbiam linoskoczków Max, jesteś do nich podobny, jesteś kuglarzem, zamieniającym wodę w ogień i ziemię w powietrze. Własność przestaje istnieć dzięki wróżbitom, wyciągającym z cylindra uśpione króliki. Wróżymy z fusów Max i z wnętrzości padłych ptaków. Opowiadamy o Plejadach, o gwiazdozbiorach, gdzie wszyscy są równi, a śmierć trwa zaledwie krótką chwilę.

Zauważyłem, że mój udający filozofa przyjaciel, tak naprawdę był wybitnym poetą lirycznym, czego dawał w chwilach zapomnienia liczne dowody. Maską uczonego, jaką przybierał, pozwalała mu uniknąć odpowiedzi na wiele niewygodnych pytań związanych z istotą jego jaźni, ponieważ, jak uważał, łatwiej jest być naukowcem niż artystą. Naukowiec powinien bowiem dysponować pewnym wewnętrznym uporem, by nie powiedzieć monomanią i, szczególnie w humanistyce, dobrą pamięcią, a bycie artystą zawiera w sobie tak wiele nie sprawdzalnych elementów, że złożenie ich w jakąś sensowną całość jest prawie niemożliwe. Oczywiście mówimy tu o artystach wybitnych, a nie o pacykarzach czy grafomanach. Tu Max spoglądał w lustro i przeczesywał palcami swoje coraz bardziej rzednące włosy. Miał niegdyś potężną brodę, ale wymagała ona zbyt wielu zabiegów higienicznych, co podczas codziennego spożywania darów Bożych, przy upodobaniu mojego przyjaciela do zawieszonych zup i sosów, czasami bywało wręcz nieznośne i bardzo uciążliwe. Pamiętam, jak wyzywał mnie na poetyckie pojedynki, w czasie których mieliśmy konkurować obfitością metafor i płynnością słownej improwizacji. Były to piękne chwile, które pozwalały nam odetchnąć od myślenia o szczęściu całej ludzkości i o tym, że nic, co ludzkie, nie jest nam obce. Słowa potrafią uleczyć i zabić, potrafią też pomóc odlecieć na wyspy niczyje i na odległe galaktyki wypełnione czekającą na nie pustką. Tam znajdziemy doskonałe tło dla naszych sformułowań, ponieważ nikt nie będzie w stanie ich odczytać ani zrozumieć. Opisz Plejady Max, proszę jeszcze raz, bo nie wiem, dlaczego kocham ich jednocześnie miękko i zdecydowaną brzmieniowo nazwę. Plejady są nagie i pozbawione twarzy. Przez jedną z ich rąk przewleczono gniazdo pszczoł. Potrafią zatrzymywać się na błękitnych drzazgach przestrzeni, przypominać o wilgotnym rozchyleniu ud, o kształcie ostatecznego oddania pozostawionej daleko konstelacji Byka. Lecą w ciemność bez lęku i bez obaw o przyszłość, bowiem są wieczne jak wieczność, która je otacza i dzięki temu mogą trwać w miejscu wyznaczonym im przez czas i przestrzeń.

Wszystko to musiałem gdzieś zobaczyć, ale i tak uważam, że jest całkiem niezłe. Posiłkowanie się cudzą wyobraźnią jest dzisiaj konieczne, przecież i nauka składa się głównie z rozległych przypisów do dzieł już istniejących. Twórcy z innego czasu nie mogą szczęśliwie protestować, podobnie jak gwiazdy i księżyc, którym przyglądamy się za darmo i prawie bezkarnie. Nasze podpisy zostaną zatarte, lub odczytane błędnie i nieudolnie. Kolejne nieporozumienie, kolejna pomyłka złożona na karb niewyraźnych liter i zapomnienia języka utrwalonego w piśmie. To są gmachy przerastające nawet twoją wyobraźnię Max, musimy wrócić do ludzi, przypomnieć sobie jakieś skrzydlate określenia na temat dobra i prawdy. Ludzie uwielbiają abstrakcję maksym i umoralniające

opowieści. Musimy im ich dostarczyć, a staniemy się wielcy nie tylko dzięki naszym jakże kruchym i ulotnym słowom.

Jest brudno, wszędzie jest brudno i nie pomaga nawet najlepsze umywanie rąk. Mamy wprowadzić w misce trochę czystej wody, ale to nie wystarczy, aby oczyścić ten świat. Nie jest nam łatwo wejść w starych butach i z kajdankami na rękach w życie innych ludzi. Jesteśmy spętani własną świadomością, a tu trzeba wznieść się ponad nasze ciasne indywiduum. Pozory mylą, a my jesteśmy tacy niepozorni. W drewnianych skrzynkach leżą stępione narzędzia Max, musisz je naostrzyć, wyczulić na krzywdę i cierpienie.

Moralizowaliśmy stylowo, poruszając ogromnymi wachlarzami ze strusich piór. Ciepły wiatr owiewał nam twarze. Wokół sali, w której siedzieliśmy, toczyły się małe rycerskie turnieje na śmierć i życie pomiędzy naszymi zwolennikami i przeciwnikami. Kilka kobiet zachwycało się Maxem, czesząc czule jego nieistniejącą już brodę. Mały relaks nam nie zaszkodzi, tym bardziej, że niedługo nadejdą czasy powietrza, głodu i wojny. Kończy się kolejna piękna epoka i nic na to nie jesteśmy w stanie poradzić. Wybuchną wulkany, powstaną zimne wyspy, a czapy lodu ochłodzą gorącą lawę, płynącą pomiędzy palcami nieostrożnych mieszkańców.

Wszystko można postrzegać w makro i mikro skali, nauczał Max. Nawet katastrofy Natury i katastrofy dziejowe. Na wyspach mogą być jacyś mieszkańcy, ale Ziemia widziana z Księżyca wygląda już całkiem inaczej. Lubię moment poczęcia, podczas gdy moment narodzin interesuje mnie już znacznie mniej. Wszystko płynie i nie możemy się zatrzymywać zbyt długo, ponieważ wtedy przestaniemy nadążać za cywilizacją, która nieuchronnie zmierza ku zagładzie. Wejdziemy w głąb najwyższej góry, żeby zobaczyć, co nas czeka. Mała Apokalipsa już się zaczęła, zabiła kilka ekspedycji naukowych i tragarzy niosących największe ciężary. Tylko my możemy ich uratować, ponieważ wiemy wszystko o przepływach pary wodnej i międzynarodowego kapitału. Będą się do nas modlić Max, paralitycy odzyskają dzięki nam sprawność ruchu, a ślepi przejrzą na oczy. Będziemy na sztandarach i na monumentalnych plakatach, ale najważniejsze jest to, że znajdziemy się na stałe w ich sercach. Nasza miłość własna zostanie zaspokojona. Pierwszy raz ktoś nas ostatecznie i trwale zaspokoi. Wrócimy do łona matki i do jąder ojca. Nikt nas już więcej nie porzuci. Czy to sobie wyobrażasz Max, w tym chaosie coś pewnego i na zawsze? Portrety, których nikt nie ośmieli się zniszczyć, nazwiska otoczone czcią, biblioteki wypełnione dziełami sławiącymi naszą chwałę, wyznawcy zaczytani w świętych tekstach? Widzę to przed oczyma duszy mojej, chociaż nie bardzo wierzę w duszę w sensie religijnym. Rzeczy łączą się ze sobą i tworzą konglomerat coraz bardziej uporządkowanych pojęć i zdarzeń. To będzie nasz świat, linia prosta i spirala, po której poruszać się będą coraz bardziej wysublimowane algorytmy. Gdzieś tam coraz wyżej będziemy my, panowie stworzenia, znający przyszłość i niedbający o przeszłość. Złoty promień przebije kamienną kopułę wieńczącą tę budowlę. Nareszcie zapomnimy o Wieży Babel, ponieważ nasz język stanie się prosty i połączy wszystkie narody bez względu na kolor ich skóry.

Zauważyłeś Max, że składamy się z dosyć chaotycznych elementów? Jesteśmy podobni do szczurów zamkniętych w piramidalnych klatkach. Dlaczego „piramidalnych”? Szczerze mówiąc, nie wiem, nie panuję do końca nad moimi skojarzeniami. Są wolne, jak szczury, które wyrwały się z pułapki. Jakie to szczęście, że szczury

nie mają wyobraźni, potrafią za to przewidywać przyszłość, jak ty Max, zawsze to robiłeś, nie obca im jest szczurza filozofia dziejów. Musimy wstąpić do kolejnej tajnej organizacji, ustalić na nowo jej rytuały i święta, przebić pierś szpadą lub zgwałcić jakąś adeptkę. Nie ma to jak wspólna zbrodnia. Jeżeli zdradzisz, zagryziemy cię bez wahania, nasze stado będzie najsilniejsze, nasze ławice dopłyną najdalej. To nie są żarty Max, wyścig cywilizacji dopiero się zaczyna. Profani i profeci dopiero się rodzą z naszych lędźwi, w piwnicach płoną knoty nadgryzionych świec. Chodźmy stąd przyjacielu, chodźmy pohandlować żywym towarem, albo wartością dodatkową, czymkolwiek. Najlepiej handluje się na pustyni, tam życie ma inny smak oraz sens. Nie wiem Max, czy byłeś kiedyś na Saharze? Prędkiej na pustyni Negew lub gdzieś w jej okolicach. Jak ty się właściwie nazywasz mój drogi, skąd pochodzisz? Najlepiej zawsze idzie sprzedaż odpornych na ciosy losu oraz na potworny upał panujący w głębinach kopalń i przy martenowskich piecach. Dobrze idzie sprzedaż odpornych na mróz i brak jedzenia.

Wyhodujemy nowa rasę ludzi Max, ogłosimy, że każdemu należy się tyle, na ile zasługuje. Niestety najczęściej będą to ludzie bez żadnych zasług, czyli nic im się nie będzie należało. Nieśmiertelni są odporni na potoczną logikę i zdrowy rozsadek. Przesunięcie bryły świata wymaga ofiar. Kto nas zrozumie przyjacielu, kto nas zrozumie, jeżeli i dla nas niektóre z naszych prawd stanowią tajemnicę? Życie przyszłych pokoleń będzie samowystarczalne, jak za czasów wspólnoty pierwotnej. Wspólnota, jakie to piękne słowo. Zdobędziemy wolność dla wszystkich, a następnie ją ograniczymy i tak bez końca. To znaczy, końcem zawsze będzie śmierć, ona jedna wymknie się nam spod kontroli. To nieludzkie, że wszyscy muszą umrzeć, nawet my Max, ale zadbamy wcześniej o nasze grobowce i mauzolea postawione pośród zbóż szumiących i ulic, po których będą przechodziły szczęśliwe pochody robotników i chłopów. Za bardzo staję się dosłowny Max, pora kończyć ten fragment, dosłowność może zabić nas przedwcześnie, albo zniechęcić do nas naszych egzegetów. Lepsze są metafory i alegorie, one nas nigdy nie zawiodą. Będziemy rozprawiać o szczelinach bytu albo o czymś podobnym. Tam się schowamy przynajmniej na chwilę i zaśniemy jak nowo narodzone dzieciątko, jak homunkulus o krwi gorącej i świeżej.

Takie dzieci bywają niebezpieczne, zauważył Max, lubią się mądrzyć i rozmawiać o sztuce użytkowej. Nic wprawdzie nie mam do sztuki użytkowej i chętnie bym ją wprzągnął w system, ale prywatnie lubię rzeczy do niczego nieprzydatne, wręcz zbędne, które pozwalają mi na przykład wyobrazić sobie brak mórz na Ziemi albo demokrację w Chinach. Lubię też myśleć o czyścicu, nieco zapomnianej przez teologów i naszych księży krainie, w której jest, jak w starej piosence, trochę dobrze trochę źle. Nie wiem, jak to tam wygląda w praktyce, ale przecież nasz sposób istnienia bliższy jest czyścicowi niż piekłu lub niebu, a nikt tego nie podkreśla ani nie zauważa. To, co szykujemy ludzkości, będzie oczywiście niebem, jednak po drodze wszyscy będą musieli znaleźć się w czyścicu, ponieważ nikt nie jest doskonały, a każdy kij ma dwa końce. Ciekawe, czy są tam jacyś demokraci albo socjaliści, może rządzą partie konserwatywne, zakładające, że lepiej jest niczego nie zmieniać i nie wyrwać się zbyt pośpiesznie do nieba, które jest niepewne i nie dostarcza tylu rozrywek co obecna w czyścicu odrobina piekła. Tak czy inaczej, czyścic jest ciekawy i warto jest czasem o nim pomyśleć, tym bardziej, że słyszałem, iż ostatnio doszło tam do dużych rozruchów, ponieważ jedna frakcja dusz domagała się poszerzenia drogi do wieczności wiekuiestej, podczas gdy druga wprost przeciwnie, chciała, aby ostatecznie zamknąć czyścicowe bramy, by nikt nie mógł już nigdy stamtąd odejść. Interesuje mnie też, jak to jest trwać pomiędzy idealnym dobrem i nieidealnym złem, co się wtedy czuje i jak człowiek reaguje na światło i ciemność? Mają tam pewnie listę lektur wyjaśniających te sprawy lub napoje

rozjaśniające myśli, w których w odpowiednich proporcjach rozpuszczono grzechy i dobre uczynki, jak w koktajlu wypijanym przez turystów na Wyspach Karaibskich lub nad polskim morzem. Może się oczywiście zdarzyć, że aniołowie wypiją to co jest dobre, a resztę wyleją na dół do piekła, oczywiście, przy założeniu, że piekło jest na dole i że kierunki naszej marnej i doczesnej egzystencji odpowiadają kierunkom w zaświatach. Lepiej od razu podzielić wspólne dobra na okruchy i szkiełka znalezione przy drodze, wtedy będziemy mogli grać dowoli na automatach, w których można jeszcze znaleźć płyty ze starymi przebojami i trochę kurzu pod szkłem przykrywającym zdartą igłę. Potrafimy siedzieć na igle i mieścimy się tam doskonale, ponieważ towarzyszy nam od pewnego czasu myśl nieśmiertelna, a ta potrafi anioły przemienić w zwykłych śmiertelników i odwrotnie. Max uwielbiał każde stwierdzenie odwracać i nicować nieustannie, tak jakby w ten sposób słowa mogły zamieniać się w coś konkretnego, a konkrety przybrać metafizyczną wartość czystych idei. Monety dzięki temu zamieniały się w ludzi, ludzie w zwierzęta, metal w tekturę, a poglądy polityczne w papier gazetowy. Czasami brakowało mi w związku z tym koniecznej wobec mojego przyjaciela odpowiedniej dozy cierpliwości, ale cierpliwość też można zamienić na przykład na kraty więzienia lub wielogodzinną kolejkę po chleb i powrócić do punktu wyjścia, jakże pożądanego przez wielu filozofów.

Serce jak wiesz, mówił Max, jest po lewej stronie naszego ciała. Połóżmy się na lewym boku, wtedy uciśniemy je lekko, aż zacznie krwawić i prosić o więcej tlenu. Tak rozpoczynają się senne koszmary, poduszki spadają z otwartych okien, sypie się z nich pierze, nic nie jest na swoim miejscu. Świat zaczyna się od nowa, a my śpimy uparcie i skrycie, marząc o sprawiedliwości i równym rytmie naszych kroków. Dużo nowych słów przypiętych jest szpilkami do zielonych kurtek, które rozdaliśmy ludziom. Może ktoś je odczyta, słowa muszą mieć jakieś znaczenie, inaczej sens ich istnienia byłby wątpliwy, a litery musiałyby się zamienić w garstkę kurzu lub mech porastający kamienie. Wybiegamy nieustannie w przyszłość, jest ona o wiele ważniejsza niż teraźniejszość i to co się już wydarzyło. Pojawia się w niej człowiek, czciciel Natury o twarzy z żołądzi i liści jemioly, mędrzec, który potrafi zatrzymać w biegu stada antylop. To się musi wydarzyć, ponieważ my nie mamy twarzy, jesteśmy nadal anonimowi, nasze walizki są puste. Pisarze czytali niegdyś filozofów, obecnie filozofowie czytają pisarzy, zmieniły się kierunki, po których poruszają się nasze zmysły i wzrok tryumfuje jak za czasów wspólnoty pierwotnej. Lubię słowo „pierwotny”, jest podobne do dalekich stepów i kobiet, które właśnie zeszły z drzewa na sawannę w poszukiwaniu dorodnego samca. Człowiek Natury zasnął, w jego włosach uwiły sobie gniazda wędrowne ptaki. Nie wynaleziono jeszcze drabiny, przez co niebo jest dalej niż dzisiaj. Towarzyszy nam zwątpienie Max, tak jest zawsze, kiedy patrzymy w oblicze pustyni. Nie ma jeszcze nimf ani satyrów, nasza opowieść jeszcze się nie zaczęła. Musimy to zmienić i zacząć wszystko od początku, najlepiej od zachwytów nad promiennym zachodem słońca albo urodą drzewa sandałowego, które daje cień bezimiennym wędrowcom. Taka będzie tworzona przez nas literatura, jesteśmy literaturą i nie możemy tego zbyt pośpiesznie zmienić. Z promieni słońca możemy utkać tęczę i nieoszlifowane diamenty. One nas przetrwają, mój przyjacielu, i opromienią nowe słowniki swoim zimnym i twardym blaskiem.

Sztuka ma wielką moc, dzięki zawartemu w niej pierwiastkowi retorycznemu. Pozwala uwypuklić to, co nie jest wypukłe i zawęzić nadmiernie szerokie dukty. W sztuce najbardziej lubię zdrową cielesność i wielkie manifestacje jedności, są momentami wprost wzruszające. Przypomnij sobie, drogi przyjacielu, powiedzenie „widzieć coś

gołym okiem". Jak wiele jest w nim zawartej niebanalnej treści i trafnego uogólnienia. Nagi instynkt, gołe oko, nadzy wśród wilków, goło ale wesoło, nagość uszlachetnia, gołemu wiatr w oczy wieje, to wszystko każe się zastanowić nad siłą słowa jako źródła wszelkiej materii. Jak wiele się z nich można dowiedzieć i odkryć, w głębi tych pozornie niezbyt skomplikowanych sformułowań, głębię myśli. Język prowadzi nas jak na smyczy w sobie tylko wiadomym kierunku i rzeczą filozofa jest jak najszybciej to spostrzec i albo się podporządkować, albo na dnie z honorem lec. Sztuka i filozofia powstają w samotności ciała i czystości ducha. Samotność jest łatwiej rozpoznać, widać ją w kącikach ust, w porzuconych na stole rękawiczkach. Czystość ducha mieści się w zapachu bzu i trudno jest pomylić ją z czymś innym, trzeba jedynie starać się ten zapach zapamiętać, oddając się jednocześnie jakiejś absurdalnej czynności manualnej. Max zalecał wykonywanie ikebany z płatków kwiatów pomieszanych z fioletowymi liśćmi ostrokrzewu, mówił, że najlepiej układać je na dachu średniowiecznej świątyni lub w pobliżu kruchych i łatwo ulegających zagładzie witryn wielkich magazynów. Pamiętaj, mówił, zawsze przyglądaj się brzegom pustych kieliszków, badaj uważnie, czy są na pewno puste i czyste, czy nie ma na nich śladów szminki odrywanej pośpiesznie od zatrutego płynu, który kiedyś znajdował się w środku. W każdej świątyni jest takie zatrute miejsce, omijaj je starannie, twórz swoją sztukę w cieniu najwyższej i najpiękniejszej wieży. Wtedy zakwitnie w sposób nieprzewidziany i spontaniczny. Taka jest najlepsza, rozpięta ponad dachami miasta, jak sieć oplatająca mieszkańców i jednocześnie niewidoczna nieuprzedzonym okiem.

Mówiliśmy wiele tej jesieni. o prawach rządzących ewolucją. Max wymyślał ptaki wyrosłe z pestek zasianych niegdyś przez praptaka na konarach jarzębiny. Ptaki te miały czerwone pióra i purpurowe dzioby, a ich lot przypominał szal wykonany z kaszmiru, rozpięty na himalajskim wietrze. Nikt nie potrafił dotrzeć do białego miąższu tych stworzeń i dzięki temu stały się one synonimem poezji. Niekiedy zamieniały się w żarptaki z rosyjskich bajek i wtedy potrafiły podpalić nawet spore miasta na dalekiej Północy. Tam będzie nasz azyl, mówił Max, koło Koła Polarnego, na odległych biegunach Ziemi, tam będzie się w pełni wykuwać myśl nieśmiertelna, przemieniona w konkretny, namacalny czyn. Istnieje wprawdzie niebezpieczeństwo, że ktoś zniszczy kiedyś korzenie płomiennego drzewa i zabije nasze ptaki, ale nie będzie to łatwe, ponieważ herosów na tym świecie już prawie nie ma, a ci co są uciekli do odległych krain przeżartych niezdrową i powierzchownie pojmovaną demokracją. Nasi bohaterowie to ludzie niezłomni, mają mocne torsy i spore, chociaż rzadko używane fiuty. Cechuje ich prawość myśli i jasność spojrzenia. Potrafią przekopać wszystkie kamieniołomy, aby odnaleźć ten jeden, właściwy kamień, z którego sypną życiodajne iskry i z których rozgorzeje płomień. Nasza myśl musi być ognista i lotna, inaczej będziemy jako te jętki rzucane przez prądy powietrza, a nasze ciała staną się całkowicie przezroczyste.

Wizje, jakie nawiedzały niekiedy mojego przyjaciela, były jednocześnie piękne i przytłaczające. Podobnie działo się podczas prób przeprowadzenia równoległej syntezy i analizy dowolnego wycinka rzeczywistości. Dawały w tych samych warunkach odmienne rezultaty, co wprawiało Maxa w stan głębokiej melancholii i psychozy impulsywno-kompulsywnej. W identycznych okolicznościach powstawały bowiem opowieści umoralniające, bajki i baśnie, kryminały, seriale mydlane i różowe serie, powieści rzeki, opowiadania erotyczne i fantastyczne, epika, liryka i dramat. To nie jest możliwe, aby sztuka była tak nieprzewidywalna w swej istocie i tak niepodlegająca socjogenezie. Podobnie działo się podczas prób wstrzymania Słońca i poruszenia Ziemi oraz stosunków oralnych z fertyczną sąsiadką z przeciwka. Nic nie pasowało do niczego, nic nie wynikało z niczego. W związku z tym zaprzestaliśmy tego dnia prób zmieniania czegokolwiek, a nasza myśl społeczna i polityczna

uległa chwilowo zawieszeniu. Pokazywaliśmy jedynie piękne zęby w szczerym i niewymuszonym uśmiechu, skłaniali głowy najpierw w lewo później w prawo, aby na koniec zatrzymać się na chwilę nad wodospadem, który pojawił się niespodziewanie w pobliżu naszej wiejskiej rezydencji. Tak powstają antologie osobiste oraz przyszła artystyczna sława. Z małych okruchów rzeczy, z tropizmów roślin i ludzi, którzy nieświadomi oddychają teraz coraz szybciej dzięki naszej uduchowionej intencji. Potrzebny jest nam jak zwykle impuls do działania, pobudzający do budowania kolejnej barykady, do powstania z miejsc, chociaż jest już późno i spóźnimy się na pewno na najważniejszą godzinę naszego życia, która być może jeszcze nie nadeszła i której nie powinniśmy przegapić, patrząc uparcie w tarczę zachodzącej gwiazdy, która wstrzymana leci nadal w próżnię bezmyślna i pozbawiona ludzkich uczuć, życiodajna i zabójcza, bliska naszej coraz bliższej śmierci.

Niekiedy odchodziliśmy z Maxem od powagi spraw społeczno-politycznych, zmierzając krętą drogą w stronę opowieści dziwnych i tajemniczych. Była to forma ucieczki od tego co poważne, jednak czasami wydawało się mi, że jest zupełnie odwrotnie. To opowieści zaskakiwały nas swoją głębią i powagą, podczas gdy snute przez nas ideologie były tak prozaiczne i nudne, że sami nie mieliśmy ochoty wnikać w ich podejrzane filozoficznie i myślowo sedno. Działo prawo sinusoidy, góra dół, dobro zło, lepsze czasy gorsze czasy, kobieta mężczyzna. Nasza opowieść przemieniona w pieśń lub jedynie piosenkę, śpiewaną nieudolnie przez Maxa, mówiła o garbusie, który potrafił łątać największe dziury w burzowych chmurach nawiedzających jego krainę w okresie letnich monsunów. Garbus łątał je przy pomocy ogromnej igły przechowywanej w garbie. Pewnego dnia jednak garb zniknął i garbus wyzdrowiał, tracąc swoją cudowną moc i nikt od tego czasu nie potrafił już zaszyć dziur w błękitnej tkaninie nieba. Wieża, w której mieszkał, będąca istotnym chociaż pominiętym przeze mnie nierozważnie elementem tej opowieści, została wchłonięta przez przepaść znajdującą się poza horyzontem i pochłonięta na wieki ostatniego człowieka, który potrafił rozmawiać z nieskończoną przestrzenią znajdującą się ponad naszymi głowami. Nie wiemy, dlaczego był ułomny i dlaczego nagle wyzdrowiał. Nie wiemy, dlaczego utracił swoją moc i co stało się z igłą, dlaczego opowiadamy o kimś, kto nigdy nie istniał. Nie wiemy niczego, Max, tak do końca, dlatego wracamy w te rejony, które są nam znane. To straszne, jak ucieczka z pola bitwy, jak dezercja, odejście od tego, co jest jedynie istotne w stronę trywialności rzeczy, ich milczenia i bezmyślnego trwania. Popatrz na te zarękawki Max, ile jest w nich tragedii ludzkiej, ile trudu bez końca i początku, mrówczej pracy, przed którą uciekamy od lat na rozległe rozłogi słów i swobodnych skojarzeń.

No, nie przesadzajmy, oburzył się mój przyjaciel, zarękawki dostałem w prezencie od mojej byłej kochanki, której wstawiłem szyby w oknie, wybite przez przypadkowych anarchistów. Ich czarne flagi lekko mnie denerwują, nie lubię też partackiej roboty współczesnych szklarzy, którzy wykonują swoją pracę pośpiesznie i nie-dbale. Zresztą, gdybym był szklarzem, to zafundowałbym sobie jakiegoś anarchistę i razem tworzylibyśmy tandem nie do przebicia. Widziałem coś takiego na filmie i, o ile pamiętam, skończyło się to wszystko w miarę szczęśliwie. Dawne filmy miały klasę, nie to co teraz, a co do kochanek, to i te były kiedyś lepsze i zręczniejsze w palcach. Nie miały tylu rozrywek co obecnie, przez co lepiej skupiały się na swojej misji, polegającej na uszczęśliwieniu filozofów i przypadkowych przechodniów, w tym anarchistów. Tu Max zamyślił się głęboko, ponieważ zauważył, że jego świat ponownie uległ zapętleniu, wkroczył na wstęgę nieskończoności i nie może się już z niej wyplątać. Szyba, kochanka, anarchista, film, przechodnie, anarchista, kochanka, wystarczy. To nie ma najmniejszego sensu,

podobnie jak zarętkawki rozwieszane po deszczu na płocie pośród malw i glicynii. Płakaliśmy z moim przyjacielem do białego rana, niemal uduszeni przez pętlę, która nie chciała się rozpuścić ani na chwilę. Nasz płacz był czysty i szczerzy i niósł się echem pośród czarnych sztandarów, aż przepadły i zniknęły dzięki ofensywie proletariuszy wszystkich krajów i sile ich sztywnego łącza.

Potrzebna nam jest armia Max, bez armii nie wygramy. Nasi generałowie muszą mieć bystre oczy i otwarte umysły, muszą nauczyć się dowodzić w najtrudniejszych warunkach. Będą potrafili wszystko, wyobraź ich sobie, mój przyjacielu, jak tną sieczkę dla szeregowców w okolicznych stodołach, jak instruują flisaków płynących po rzece, w którym kierunku należy płynąć i dlaczego rzeka tego roku płynie tak wolno. Ich szarże, ich złote epolety. Wprawdzie początkowo zrezygnujemy z tego w myśl hasła głoszącego wolność, równość i braterstwo, ale później wszystko się zmieni. Im mniej będzie wolności, tym więcej pozorowanego braterstwa. Zamkniemy wszystkich na jednej tratwie i jeżeli komuś nie będzie się podobał brak równości, to, niestety, zostanie wrzucony do wody. Wypijmy za to Max, najlepiej z pucharów wypełnionych żywicą, która spłynęła po korze pierwotnych drzew wydobytych z naszej trudnej historii. Podnieśmy czapki z głów, podnieśmy się za włosy, ponieważ nareszcie odnaleźliśmy właściwe punkty oparcia. Podniesiemy nawet naszą planetę do oczu, aby zobaczyć ludzi pozbawionych widzenia zbyt ostrego i dalekosiężnego. Tacy są nam potrzebni, pokorni i cisi, będą błogosławieni i nagradzani odpowiednio przyciętą sieczką. Ogarnie nas wieczna wiosna, cud zieleni i bieli kwiatów, a jubilerzy przyniosą nam najpiękniejsze brylanty wydobyte spod dna górskich strumieni. Nadamy nowym ludziom stopnie, rangi i ordery. W wolnym czasie będą mogli intensywnie pracować w trakcie czynów społecznych. Nie uwolnimy nikogo od jego drobnych zainteresowań i zamiłowania do pracy. Kto nie pracuje, ten nie je, kto je, ten nie pracuje. Nie muszą jeść za dużo, przyjrzyjmy się naszym braciom Chińczykom, pozdrómy wolną Koreę Północną, której jeszcze nie ma, ale która zaistnieje całkiem niedługo. Ale może bez konkretów Max, w końcu tworzymy wizerunek czasów, które muszą nadejść, ponieważ taka jest kolej rzeczy i dziejów ludzkości. Wierzmy w to Max, w coś trzeba wierzyć, nawet jeżeli na razie nikt nie chce nas wysłuchać, a nasze utwory zapadają się w niebyt, jak litery dawnych poematów przeżarte syfilisem i przedwczesną śmiercią ich autorów.

Żyjemy w czasach performansów, wszystko jest performansem. Kiedyś było teatrem, a teraz performansem. Lubię to słowo w polskiej transkrypcji. Ma w sobie coś z perforacji, defloracji, permanencji, perypatetyki i perystaltyki jelit. Słowa mają ogromną moc Max, ich znaczenia nie są już takie ważne, można dobierać je przypadkowo i kojarzyć w dowolny sposób. Kojarzenie, to też jest dobre słowo, podobnie jak urodziny lub estetyka klasyczna. Lubię estetyków, siedzą w wielkiej wannie z białym czystym słońcem i onanizują się tam bezczelnie. Codziennie przez świat przepływa czterdzieści pięć ton pięknego, białego ejakulatu, w tym spora część pochodząca od estetyków. Pewnie trochę też jest od etyków, ale ci mnie dzisiaj jakoś mniej interesują. Eksponaty na naszej wystawie poruszają się i mówią, publiczność, złożona w dużej mierze z osób całkowicie przypadkowych, poszukuje klucza do dzieła sztuki, którego jeszcze nie ma. Gotowi na wszystko pokażemy im jak wygląda wnętrze artysty, korespondujące w sposób doskonały z podświadomością widzów. Wszystko zostanie zapisane na taśmie światłoczułej i utrwalone na zawsze. Operacje pod częściową narkozą są na szczęście dozwolone, dlatego będziemy mogli spuścić się na papier ścierny, którego ziarna staną się przez to niezniszczalne. Jest to projekt jednocześnie szalony i racjonalny, brud połączy się z twardą materią i nie pokala nikogo. Stworzymy sztukę niepoką-

lanie poczętą, doskonałą w swej istocie i jakże oryginalną. Duchamp przewróci się w grobie, chociaż i on próbował stworzyć obrazy z własnego nasienia. Panna młoda powróci na łono młodzieńców, słoń zacznie pływać, odgrodzimy się od ulicy podwójną, stłuczoną szybą. Nasze liczne lektury otoczą nas kokonem puszystej waty prawdy i zmyślenia, dzień zamieni się w noc, a nowo narodzone dzieci wypiją całe mleko swoich matek. Piękne szaleństwo Max i to wszystko na tak małej przestrzeni naszego mózgu. Nie wszystkie kobiety są w stanie to wytrzymać, niektóre pod pozorem menstruacji wybiegają na ulicę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Kalki logiczne fruują w powietrzu, plagiaty łaszą do nóg, nieudolne przekłady gryzą wargi tłumaczy. Nie trzeba nam tylu metafor, mówią młodzi gniewni, potrzebna jest nam zwiększona produkcja, mówią starzy pogodzeni. Gniewni znowu się pojawili Max i idą w marszu przyszłego zwycięstwa. Musimy coś z nimi zrobić, inaczej rzucą się nam do gardła. Niczego nam nie potrzeba, mówią ostrożni konformiści, za wszystko z góry Panu dziękujemy, wołają teolodzy. Postęp wymaga wcześniejszego wycofania się na z góry upatrzone pozycje i później należy wykonać skok jak najdalej, najlepiej na oślep. W mętnej wodzie nie widać drugiego dna, ponad którym płynie krystaliczna woda nowych czasów. Wyczuwasz ten styl mój przyjacielu, czysty i rekoлекcyjny. Tworzymy nową wiarę i musimy to zrobić w miarę sprawnie. Inaczej nikt nam nie uwierzy i kto podejmie wtedy wraz z nami miedzianą misę wypełnioną gniewem ludu?

Nikt nie wie, kim byli rodzice Maxa. Najprawdopodobniej powstał on w akcie dzieworódtwa w jakiejś bibliotece poprzez pocieranie brzoskwini świeżym ciałem kobiecym. Pomocne niezwykle były okoliczne pola i łąki, objawiające swoje piękno na oszronionej purpurowymi włoskami skórcie owocu, mech porastający stare księgi, liście w kształcie sztyletu zamierające pod dotykiem czyjejś ręki. Wszystko to trwało kilka sekund, ale było wystarczającym aktem stworzenia i jednocześnie przepowiednią spodziewanej śmierci mojego przyjaciela, który był bardzo dumny z tego jednorazowego w dziejach Ziemi wydarzenia i zawsze, przechodząc obok drzew brzoskwiniowych, dotykał ich nabrzmiewających pąków, badał, czy mają odpowiednie nasłonecznienie i życiodajną wodę, tulił do mokrej kory, chcąc odczuć jej ciepło i mądrość, dzięki której kilka lat świetlnych mogło zamienić się w jedną chwilę uwikłaną życiem, którego wcześniej nie było, w zatarcie konturów i granic między pełną miodu kobiecością i niewidzialnymi korzeniami rośliny,

Mogliśmy tak miesiącami zbierać słowa, metafory, urojone zdarzenia, niespodziewane rozwiązania akcji, po to by później móc zsypywać je do olbrzymich kadzi, gdzie deptano je bosymi stopami, aby wytrysnął życiodajny sok, którego Max używał jako afrodyzjaku i jednocześnie tarczy chroniącej przed realnością. Martwiliśmy się wprawdzie, czy nogi naszych pracowników były wystarczająco czyste, ale zapewniono nas, że pewne domieszki natury fizjologicznej są niezbędne w procesie fermentacji upojnego miąższu, ponieważ wnoszą doń pierwiastki naturalizmu przemieszane z surową materią, której tak wszyscy pożądamy. Materia, mówił Max, musimy ją doprowadzić do stanu wrzenia, przebóstwić, zamienić miejscami z tym, co dotąd niesłusznie uważano za idealne i absolutne. Musimy napisać na jej cześć poematy i hymny, a na pewno odwdzięczy się nam wytryskiem energii i czynem, którego nikt nie zdoła zatrzymać. Poruszajmy się zatem wspólnie, zatańczmy rytualny taniec na ruinach dawnych systemów, rozłóżmy łopaty wzdłuż drogi, niech zahartuje się stal, a furmanki pełne piachu przewiozą materię na drugi koniec miasta. Siejemy wiatr, zbieramy kwiaty brzoskwini, nosimy czerwone krawaty na gumce

wyciągniętej z majtek. Zjeżdżamy szybko w górę, chcąc sprzeciwić się prawom grawitacji. Nasza myśl jak zwykle zwycięża.

Zdania są coraz krótsze. Jesteśmy coraz bardziej syntetyczni. Wszędzie plastik i posegregowane odpady. Rzygać się chce od tego porządku. Świat postanowił nas uporządkować poprzez swobodnie kontrolowaną zabawę. Żyjemy, bawiąc się nieustannie, z nieba lecą różnokolorowe piłeczki, chwytane przez dzieci i młodzież obojga płci. Mamy, co mamy, najnowszy przebój śpiewany przez Maxa, nieustanna wygrana czeka nas po śmierci, ale warto jest rozejrzeć się za nią już teraz. W głębi snują się widma siedmiu lat chudych, używamy aż do bólu, do zatracenia zmysłów, które wyraźnie nie nadążają za słowami. Zauważyłeś Max, że na ulicach jest coraz więcej pomalowanych krzykliwie staruszek, stare kokietki jak na dawnych obrazach, rodzajowość, która nie pozawala nam odetchnąć i nabrać w płuca świeżego powietrza wielkiej sztuki. Wszędzie pokruszone chleby, słone precelki, słodka wata i napoje przynoszące ochłodę i ukojenie po seksie i być może, tym razem, nadmiernie przedwczesnym wytrysku. Kopalnie soli pracują pełną parą, cukrownie przekraczają plan, tłuszcz obrasta nasze biodra, musimy coś z tym zrobić, to niedopuszczalne, aby społeczeństwo przyszłości miało tak wyglądać. Ograniczymy im jedzenie i przez to będą mogli pełniej i lepiej zająć się sprawami ducha. Duch bowiem jest wiecznie głodny i nienasycony, nie można go uspić Coca-Colą ani hamburgerem. Pożąda nowych terytoriów, które musimy mu zapewnić i dostarczyć w dużych ilościach razem z mieszkańcami szczęśliwej krainy, miastami, w których ulice będą błyszczeć czystością spowodowaną tym, że wszystkie odpadki wyjedzono z nich do czysta. Albo odwrotnie, zastanówmy się Max nad sztuką biedną, wystrzępioną, podartą. Jest idealna w tych warunkach, wystarczy trochę brudu, śmieci, starych szmat. Tak mogą wyglądać całe dzielnice odrapane i podniszczone przez czas. Można je będzie od czasu do czasu pomalować, posypać proszkiem na szczury, namaścić specjalną maścią, ale bez przesady Max, musimy zostawić niedomyte okna, dziurawe bruki, pomniejsze piekła, to one są moją obsesją, której nie potrafię się pozbyć. To w nich osypują się tynki i pojawiają postacie jak ze złego snu, koty błyszczące w nocy, wiemy o kuszącym spojrzeniu, gorące piece, w których pali się dorobek ludzkości. Latarnie nigdy się tam nie palą, świece są dla wybranych, a kobiety o długich czarnych włosach i pomarańczowych rzęsach palą papierosy stojąc w bramie i czekając na przypadkowego przechodnia. Do jutra Max, uważaj na siebie, posłuchaj, jak o bruk uderzają szare kule szaleństwa. W ekstatycznym poruszaniu biodrami, w tajemnych ruchach podbrzusza pojawiają się nasi synowie i córki. Jesteśmy wewnątrz odwiecznej kobiecości, pijemy wino, nasze głowy ociekają spermą. Musimy się spieszyć, ponieważ przyszłość będzie coraz bardziej ascetyczna i wypełniona pracą u podstaw. Życie powstaje wszędzie, na deskach, na ulicy, w łóżku, w wychodku, w piekle, tylko niebo jest od niego wolne. Nasze życie mieści się w okrągłych zdaniach, zakręconych spiralnie parabolach, w alegoriach, których nikt nie rozumie. Musimy się tego trzymać, kanciastych wykrzykników i półokrągłych znaków zapytania. Takie jest nasze przeznaczenie, kropka na końcu zdania i przecinek w odpowiednim miejscu,

Filozofia powinna się łączyć ze sztuką, sztuka z poezją, poezja z niezauważalnymi murami, w których wybito liczne, wykopane blisko nas kanały wypełnione dźwiękami, aby móc ukazać głębię kurzu, błota zlepiającego nam włosy w dniu Sądu Ostatecznego. Takie są moje przeczucia Max, nie będzie wtedy przebaczenia, nie zdołamy tego opisać ani namalować. Zabiorą nam wszystkie pióra, pędzle, komputery, komórki i nawet, w co się nie chce wierzyć, padnie Internet, który jest wymysłem Szatana. Lata minione ukażą nagle swoją twarz

zanurzoną w szerokiej strudze pamięci. Powinniśmy wtedy przykłęknąć na prawe kolano Max, posypać głowy popiołem, ubrać włosiennice, zanurzyć się w oparach powszechnego krzyku. W rękach będziemy trzymali gałęzie piołunu, na piersi będą nam dane grudy ziemi jako znak minionej płodności. Przegryziemy gorzkie pestki i tak powstanie zmysł smaku, oddamy się miłości i tak powstanie zmysł dotyku, wyplujemy ślinę i powstanie zmysł wzroku bez upajania kolejnymi toastami i bez piany płynącej z głębi ucha wewnętrznego. Taka wizja mnie uspokaja, wszystko jest pod kontrolą, czas uległ zatrzymaniu, żyjemy w odrębnej przestrzeni, która nie jest do końca nasza. Na polach leżą porzucone wianki, prawda zwycięża, a my i tak potrafimy być wszędzie, ponieważ nasz sposób myślenia odbiega od myśli powszechnych. Nie wiem po co się w to wikłam, mój przyjacielu, komu będzie to służyć i kto mnie zrozumie. Możemy póki jest jeszcze czas, wszystko zepsuć, ty to tak dobrze potrafisz Max, to co było na górze, damy na dół, to co było oczywiste, oczywistym być przestanie. Przenicujemy ubrania i buty, spojrzenia staną się przez to mniej czułe. Chwile można zniszczyć jednym garbem, pomarszczoną skórą, deltą wymarłej rzeki. Nasza gorąca krew, nasze świeże mięso. Zanurzymy w nim ręce i staniemy się wówczas równi dalekiemu Bogu.

Podobnie jest z rodziną mój przyjacielu, jest potrzebna, pamiętasz, jak wołaliśmy gorzko, gorzko na weselu pewnej panny młodej, pamiętasz dwa białe gołąbki na torcie ze złotymi dziobkami i pełno słodyczy i radości w każdym dziobku. Można to oczywiście spróbować zmienić i przekształcić we wspaniałą maszynę do rodzenia dzieci, ale powinniśmy się nad tym poważnie zastanowić, czy warto? Przemiany powinny być świeckie i zdecydowane, nowa obrzędowość może objąć kilka aspektów życia społecznego, takich jak na przykład rzut kostką albo gra w ruletkę. Osiągniemy w ten sposób różne stopnie tragizmu, każda ideologia powinna mieć swój aspekt tragiczny i komiczny. O komizmie na razie nie mówimy, ale za to tragizm, mam wrażenie, osiągniemy w miarę szybko. Usiądziemy w dymie kadzielnic, zapadniemy w siebie, przeżyjemy orgazm lub *katharsis*, każdemu damy to, co jest mu niezbędne i niewiele więcej. Gorycz życia zamienimy w niezbywalne fakty, zdarzenia w wiadomości codzienne, łupiny ziemniaka w spalone ziemniaki. Istotne będzie samo pojęcie goryczy, tabliczki z tajemnymi zapisami rozrzucone na ugorze, to, że myślenie wymyka się nam czasem nadmiernie w nieznanym kierunku, ale staramy się je pochwycić i wsadzić do odpowiedniej celi. Zaczniemy niewinnie, od etiudy z płaczem małego dziecka, albo od opowieści o zwycięstwie na dalekich frontach toczących się wojen, później pojawią się przydymione krajobrazy gotowe do ustępstw i uległości, proste tworzywo artystyczne dobre dla pokoleń reporterów. Znajdziemy drogi bardziej gładkie niż te, którymi chodziliśmy dotychczas. Zmrużymy oczy i powstaną powidoki, nikt nie zaprotestuje. Znajdziemy się w kręgu zła, z którego bardzo trudno jest się wyrwać, lecz po co się wyrwać, zło jest ciekawsze od dobra, podobnie jak wyspa od morza. Podróże będą mniej intensywne, przywiązanie do ziemi ma swój głęboki sens. Dzięki temu nikt nam nie ucieknie Max, wszyscy zostaną na swoich miejscach, zapatrzeni w odległe horyzonty, w jutrzeńkę lub zachód słońca, interpretacja jest tutaj w miarę dowolna. Widzę ich, jak stoją z grudami gliny przywiązanymi do stóp, marzących o odległych światach. Takie marzenie jest bezcenne mój przyjacielu, o wiele więcej warte niż samo bezmyślne przemieszczanie się w nadmiernie swobodnej przestrzeni.

Motyw łodzi zawsze mnie prześladował, możliwość wyjścia na brzeg, świętego połowu. Na brzegu powinny być cyprysy, aleje porośnięte kikutami drzew, oplecione siecią pajęczyny, która pomaga na rany i drobne

skaleczenia. Musimy uleczyć świat Max, wszystkie rany wewnętrzne opatrzyć naszą powstającą nieustannie myślą. Wystarczy podnieść ręce do góry, oczyścić burty łodzi, otrzeć czyste tablice z resztek sensu, uchwycić skrawek nieba w niecierpliwe dłonie. Nasza wyspa zostanie zaludniona jak we współczesnych grach liczbowych, algorytmy życia i śmierci, trawy i oceanu. Można je obliczyć, nie wychodząc z domu, spotkać zalotników czyszczących miecze i napinających łuki. Biedna Penelopa, nieszczęśliwy Odys, nic nas z nimi nie łączy, nasze podróże się skończyły, a porzucone kobiety nie patrzą w naszą stronę. Na naszych drogach jest coraz więcej śniegu i błota. W końcu się w nim ostatecznie zanurzamy. Obok dróg kwitną żółte kwiaty, niebezpiecznie jest pod nimi zasnąć, sen staje się przez to coraz bardziej niebezpieczny. Pędy roślin zastygają w milczeniu. Więcej optymizmu Max, życie jest piękne, a wódka dzisiaj znowu dobrze smakuje. Stoimy na końcu szeregu i dzięki temu możemy kontrolować przebieg pochodu. Na ostatnim siedzeniu ktoś uprawia miłość. Uprawiać miłość, czynić dobro, wierzyć w prawdę i piękno, to są nasze zadania mój przyjacielu. Każdemu według jego potrzeb. Nawet jeżeli Penelopa jest chwilowo niedysponowana i nie ma dzisiaj ochoty na zbiorowy seks z zalotnikami.

Idąc coraz szybciej, nie mogłem mimo wszystko nadążyć za Maxem. O tej porze roku zyskiwał on niezwykle przyśpieszenie i był w stanie kolejny raz wykonać pracę pięcioletnią w trzy lata. Obawiałem się takiego tempa, tym bardziej, że na rogu ulicy niedaleko nas ostatnio zawaliła się wieża ciśień i musieliśmy przechodzić nad jej ruinami po chybottliwym moście z desek i starych drewnianych bali. Byliśmy ubrani w nieprzemakalne płaszcze i koszule *non iron*. Max nie znosił prasowania, ja zresztą też i nieustannie myślał, jak uwolnić ludzkość od tej ohydnej czynności. Panorama miasta z tej wysokości wydawała się być niezwykle imponująca, widzieliśmy ją z lotu ptaka i z lotu chrabąszcza, przypominając sobie dawne lata, kiedy to tych owadów było zatrzęsienie. Wiedziałem, że Max miał w zanadrzu jakąś ciekawą opowieść, ale nie śmiałem go prosić, aby się nią ze mną podzielił. Dzieliliśmy się za to obficie znalezionymi na progu domu opłatkami, szły święta i nic na to nie mogliśmy poradzić. Rozmowa na razie zupełnie się nie kleiła, patrzyliśmy w milczeniu na przechodzącą trotuarem kobiety zawinięte w puszyste kołnierze z rudych i srebrnych lisów. Lisy mruczały cicho jak koty, a koty wskakiwały kobietom na plecy i drapały je delikatnie za uszami. Świat wydawał się bezkierunkowy, coraz częściej Max świat wydaje mi się bezkierunkowy, nie ma określonego celu i do niczego nie dąży. A może to my jesteśmy bezkierunkowi w naszych plastikowych płaszcach i koszulach, które nie przepuszczają powietrza. No nie, my mamy cel oraz podnoszącą nas na duchu ideę. Jesteśmy tutaj jedynie przechodniami i musimy zaznaczyć na bruku nasze wyraźne ślady, poznać wszystkich mieszkańców, zjeść z nimi beczkę soli, mieć dzieci, napisać książkę, zasadzić drzewo, zrobić coś pożytecznego. Pomimo tych słów kierunki nadal nam uciekały i nie mogliśmy ich dogonić. Nie ma jak płynna ponowoczesność, wołał Max, patrzcie jak płynie pod tym cholernym mostem, jak odwraca się od nas i stroi swoje strusie piórka. Obrazy nie dawały nam spokoju. Struś pod mostem, most obok wieży, kobiety dosiadające lisa. Wszystko zaczęło się pomimo braku kierunków łączyć w sposób chaotyczny i niespodziewany. Wystarczy uderzyć w nożyce, wystarczy być wniebowziętym, wystarczy spotkać się z ukochaną i już ma się nową córeczkę. Zawsze chciałem mieć córeczkę Max, córeczki to ozdoba Kosmosu i Drogi Mlecznej. Polecimy kiedyś w Kosmos i będziemy mieli córeczkę. Przepowiednie się sprawdzają, książki spadają z półek i zabijają niespodziewanie czytelników. Na szczęście ocalili bibliotekarze, oni są solą ziemi. Oni kiedyś oprawią w skórę aligatora nasze dzieła zebrane. Już widzę złote litery na grzbietach aligatorów. Już widzę naszych bliskich, jak stają się dalekimi i odwrotnie. Czyżby powróciły do nas kierunki? To raczej nie jest możliwe, rzeczywistość nie

jest na tyle głupia, by dać się ująć w karby i ramy pojęć. Wymyka się bezszelestnie i zapładnia niezwykle zręcznie sztuczne lisy. Nie ma to jak ekologiczna inseminacja Max, musimy do niej dążyć ze wszystkich naszych sił i za wszelką cenę.

Zawsze podziwiałem prostych ludzi Max. Mają w sobie coś godnego podziwu. Myślę, że i Bóg, o ile istnieje, ich podziwia, a może i sam nie jest nadmiernie skomplikowany. Inaczej mógłby oszaleć, a szalony Bóg mógłby być groźny dla dzieła swego stworzenia. Czytam czasem sobie o nim i o prostych ludziach, których lubią politycy. Lubią też zwykłego człowieka i matki, które urodziły wiele dzieci. Nas nikt nie lubi, mój przyjacielu, ponieważ jesteśmy nadmiernie skomplikowani i nie urodziliśmy ani jednego dziecka. Zwykli ludzie lubią proste opowieści, najlepiej sensacyjne lub kryminalne. Wolą czytać o zbrodni niż o sobie, w cenie jest też idealna miłość, ale opisy ostrego seksu są już raczej sprawą niszową. Kiedyś opiszemy i to, lecz na razie musimy się zastanowić poważnie nad sobą i sięgnąć do jakiejś opowieści z życia wziętej. Jest sporo takich opowieści i prości ludzie je uwielbiają. Na przykład o niesłusznie osadzonym w więzieniu za nie popełnione morderstwo lub o odejściu ukochanej. Można też napisać o ostatnim uśmiechu przyklejonym plastrem do twarzy i włożonym specjalnie dla mnie. Nie byłem na to przygotowany, podawałem do stołu, zapraszałem przyjaciół po nieprzespanej nocy z bólem głowy, a tu nagle i to. Jak mam całą tę opowieść rozwiązać, jeżeli ona jeszcze się nie narodziła. Punkt pierwszy, punkt drugi, więcej odległości, zerwanie bardziej radykalne, ja, ty, on, ona, my. Kocham zaimki, pozwalają nam przetrwać największe upały. Wymieńmy wszystkich jednocześnie, zerwijmy z linearnością języka, ułatwimy w ten sposób sobie całą sytuację. Z kim byłaś, ja tu stoję pod drzwiami, a ty się gdzieś pieprzysz z jakimś facetem. No, może za ostro, uprawiasz seks, odpowiedz natychmiast. Wielkie Ty wpatrzone w buty, w podrabiane freski na ścianie klatki schodowej. Małe ja, proszę o dalszy ciąg, czy użyjesz tej historii kiedykolwiek przeciwko mnie. Dramaty też na szczęście się jakoś kończą. Obok ona, przyzwyczała się do mojego widoku i potrafi zapomnieć i ma wszystko to, czego pragnie. Już nie piszecie do siebie, pismo linearne „B”, pismo tajemne „A”. Grzebię w zwojach pamięci, wydrapuję kolejne słowa, ręce oparte na kolanach, smutek i brak poczucia winy. Jestem słaby z psychologii, pamiętam z niej tylko szczura Alberta w jakimś labiryncie. Niechęć do pisania listów zdominowała wiek XXI. W wieku XXII wyrosną nam szczękoczułki przyrośnięte do elektronicznych czipów. Wrócimy do stanu animalnego jak owady. Dokonajmy na razie wiwisekcji na własnym organizmie Max. Opanujmy chaos, od tego trzeba zacząć, od miłości, która jest jako dzwon miedziany czy coś koło tego. Ma niejedno imię i nie przychodzi zbyt łatwo. Przerwijmy to. Może jutro będzie lepiej, może słowa ułożą nam się same w sposób składny i zdecydowany. Nowa literatura nie jest nikomu potrzebna, stara odchodzi w niepamięć. Żyjemy w ciekawych czasach Max, obyś żył w ciekawych czasach, chińskie przekleństwo, a może japońskie, nie będę sprawdzał. Już od roku niczego nie sprawdzam, żyję chwilą i tym tekstem przypominającym album z zasuszonymi kwiatami. Na jednej stronie moje ręce, na drugiej zasuszona głowa, trochę genitaliów w proszku, małe obsesje, jakieś gałęzie i przyszpilone motyle. To jestem cały ja i na szczęście dla ciebie, Max, już nie starczyło miejsca pomiędzy pożółkłymi kartkami.

W pokoju mam całe sterty starych papierów, paczki z czasopismami, książki, których nikt nie czyta, notatki z wykładów o sztuce i o braku sztuki, wszystko obwiązane czerwonymi wstążeczkami i konopnym sznurkiem. Nie umiem nic wyrzucić, niedługo papiery mnie zasypią i zniszczą. Piękna śmierć o poranku. Niekiedy ubieram gumowe rękawiczki i badam moje papiery jak chirurg, nie czytając ani jednej strony. Papier można wachać, można

go lizać i ku przestrodze piszących zgnieść w małą szarą kulkę, która mieści się w dłoni. Mam w niej całą literaturę świata i zostaje jeszcze trochę miejsca. Później można patrzeć na obłoki, na płynące obłoki, starając się uczcić kolejny rok z minionego życia. Ludzie leniwi żyją dłużej Max, pamiętaj o tym, może mniej intensywnie, ale dłużej. Lenistwo zobowiązuje, nasz system będzie jednocześnie wypełniony pracą i lenistwem, na zmianę, tak dożyjemy późnej starości. Niekiedy będziemy wspominali szczęśliwe dzieciństwo i żywili się sobą w sposób umiarkowany i naturalny. Ten typ pożywienia jest w miarę zdrowy i napędza sporą część sztuki. Filozofowie mają z tym kłopot, nie potrafią przestać myśleć, a ich wspomnienia są najczęściej niezbyt ciekawe. Przestańmy myśleć Max, chociaż na chwilę, to dobrze robi na wątrobę i śledzionę, poprawia pracę jelit. Ludzie bezmyślni są najczęściej zdrowi, interesuje ich przede wszystkim jadło i tarło i to bez nadmiernych komplikacji. Nasze tarło jest skomplikowane, a jadło ubogie. Papier zalepia nam usta, idee owijają się jak węże wokół źrenic. Nasze następne życie zacznie się dopiero wieczorem, wtedy wyjdziemy na ulice, pójdziemy do kawiarni wypełnionej egzystencjalistami, wpadniemy do kościołów wypełnionych esencjalistami, nigdzie nie zatrzymamy się na dłużej. W taką pogodę w dzień najlepiej jest siedzieć w domu, o ile oczywiście ma się dom, ale siedzenie na szczęście nosimy zawsze ze sobą. Wiatr Historii, który zerwie się z uwięzi rozwieje nam wszystkie papiery. Przeciągi szkodzą starcom i dzieciom, dorośli dzięki nim hartują się jak stal. Boję się, że zostanę ostatecznie sam, to wprowadzie wiele ułatwia, taki brak zainteresowania ze strony innych ludzi, ale zawsze jest ryzyko samotnej śmierci w opuszczonym nawet przez robactwo pokoju. Może zainstaluję sobie w kuchni konfesjonał i będę się w nim codziennie spowiadał. Mam nawet starą stulę i krzyżyk z wydrążonymi otworami na krwawe rany. Moja spowiedź nie będzie powszechna, raczej kameralna i skierowana wprost do mnie. Ostatniego prawdziwego Boga, palącego potajemnie opium i oddającego się w skupieniu trudnej sztuce samogwałtu.

Nie ryzykujesz dyskusji stojąc oparta o ścianę. Pomiedzy nami czyste kartki i jaką suknię mi kupisz na naszą rocznicę. Czarny aksamit o nieco manierycznej urodzie, trochę różu, aby podkreślić kobiecość, wrażenie płynnej linii, stylizowane kwiaty. Na gotyk nigdy nie jest za późno. Roztaczam wizje i opowieści dostrzegając zrozumienie na twojej twarzy, o jedno poruszenie zmienia się wszystko, animacja niemożliwego opisu, założenia wstępne, założenia kolejne przedłużane w nieskończoność. Kocham pisać ponad słowami, w dzisiejszych czasach można pozwolić sobie w tej materii na nieskończenie wiele i tak nikt tego nie zauważy. Wyzwoliliśmy się z wszelkich reguł i zobowiązań, ponieważ druga strona nie istnieje. Nikt wcześniej nie miał tak luksusowej sytuacji. Stoimy przed lustrem nie wiedząc, dlaczego nasze twarze zmieniają się nieustannie, od nie chcę nigdzie wychodzić, do chodźmy gdzieś między ludzi. Zostaniemy, tak będzie lepiej, będziemy odmieniać się przez wszystkie przypadki, opowiadać o groteskowych wystrojach wewnątrz, sprawdzać nasze ręce, czy są nadal czułe i ciepłe. Dlaczego nigdy dotąd cię nie spotkałem, dlaczego widujemy się tak rzadko? Przyciągamy magnetyczną pustkę jak w radiu, różne głosy i poszum wszechświata. Muszę się nauczyć kilku rzeczy, to pomaga w ocenie skali uczucia, kręcisz gałką i słyszysz właściwe odpowiedzi. Drugi raz nic się nie powtórzy, milczymy dalej, pomaga, przychodzimy ciągle nad ten sam brzeg, nasze urwisko powoli wypełnia się piaskiem, literami wyciętymi z białego kartonu. Jeden nurt i wiele miast, to nas łączy. Lato zasypane zielonymi okruchami trawy. Ziemia jest spalona pod naszymi stopami, żar miłości, metafora ujęta w płomień, zwielokrotniona. W tle palimpsesty z właściwych proporcji i niepokalanego poczęcia, zgubiliśmy wszelką miarę, musisz o tym wiedzieć, to pomaga w życiu, brak proporcji. W wodzie ostre kamienienie i kolce zagubionych krzewów, ból przeszywa ciało. Oplata nas łańcuchem

gorąca i krwi pierwszej. Uczymy się jazdy delikatnie, na materacu z trocin i liści, przypadkowi, fragmentaryczni, nasze rzeki są wyjęte z dawnych kronik i muszą być zapisane. Imperatyw, którego do końca nie rozumiem, Księga, która jeszcze nie powstała.

To o niej myślę nieustannie Max, o portretach pod przymkniętymi powiekami, drgające rzęsy i zatrzymanie światła, materia przypadku, dzieje zamknięte wśród nierozciętych kartek. Musimy wprowadzić żywą materię codzienności, nieobecnych przy świątecznym stole. Musimy ogarnąć wszystko i wszystkich, wtedy to, o czym piszemy, zamieni się w strumienie życia, okrąg duchowy, który nas pochłonie i wyrzuci na powierzchnię historii przyszłości. Na razie myślimy o abstrakcji, ktoś to musi robić, przebiegać po ludzkich karkach w sposób niezauważalny, ale później rzecz ulegnie ukonkretnieniu, pismo stanie się ciałem, a ciało wydzielina, której nikt już nie zatrzyma. My w tym czasie odejdziemy na skraj lasu, ulotnimy się niespodziewanie, aby z daleka pilnować przebiegu zdarzeń. Pojawią się martwe kukułki, ptaki wróżące z ręki, oszuści śpiewający antysystemowe ballady, romanse za grosz, jak zwykle w takich chwilach, nieco chaosu i zagubienia na marginesach naszej Księgi. Zapalimy świece ofiarne, podamy na tacy kolejną głowę, a ty, Max, nawet nie tańczysz, patrzysz jedynie, jak spada w ciemną czelusć i przysypujesz ją zwałami piasku. Piszesz kolejny tekst o zwycięstwie za wszelką cenę, o ogniwach wykuwanych przez szarych ludzi. Maszyna niekiedy się zacina, musisz ją wtedy przenosić na drugą stronę ulicy, tam działa bezbłędnie, jak w lustrze. Realia osadzimy głębiej, na cienkich rusztowaniach, uderzą pioruny, zabłysną błyskawice, nadejdzie burza, która użyźni ziemię i zmiecie pokłady narosłe przez wieki na zbołatej od trwogi planecie. Lubię tę retorykę, jest czysta jak ostrze noża, wypłuwa nas i przecina na pół, ale to, co pozostaje może zbawić niewiernych i niewierzących. Nie ma w tym żadnego ryzyka, nie można zbyt dokładnie nazywać przepływu czasu, przynajmniej jeszcze nie teraz. Stanie się to możliwe w momencie unieruchomienia, zatrzymania godzin raz na zawsze i nie będzie to śmierć, ale stan wiecznej szczęśliwości, kiedy owieczka pojedna się z wilkiem a morderca z ofiarą. Otworzymy po prostu drzwi i wejdziemy w nie bez wahań i zastanowienia. Ci, którzy zostaną, nigdy nam tego nie zapomną.

Obok nas powstają nowe sklepy z ulubionymi melodyjkami, ze sztucznymi rzęsami, wejdziemy tam i ile jest kolorowych paznokci, tuszów, kremów i ingrediencji pachnących kobietą. Obok melodyjek rozdają płaszcze kąpielowe, świąteczne jajka, walce napisane w Wiedniu. Patrzymy na siebie i obok siebie, jesteśmy jak zawsze zakochani, tylko to się liczy w tym życiu, pamiętaj o tym Max, zakochaj się przy pierwszej sposobności, rzuć wszystko w diabły, a my rzucimy w anioły, będzie dobrze. Może ktoś kiedyś nas usłyszy, jak wołamy z głębokości, z cienia wypełniającego miejsca tajemne w naszym sklepie. Włączą światło a tam kilku podróżnych, kilku mędrców z gwiazdą na czole. Lubię słuchać rozmów prostych ludzi, marnych poetów, nierozumnych krytyków. Ich rozmowy są takie pouczające, wskazują na istnienie strefy martwego słowa, która ogarnia coraz większe obszary. W takim świecie zajmowanie się polityką, Max, nie ma sensu, nie można nawet wygłosić poważnej mowy, oracji, która przetrwałaby wieki. Gdzieś zaginęły dostoje gesty i poważne spojrzenia. Nie ma na nie czasu, jest za to czas na smażenie kiełbasy i opowieści o wyprzedazach. Staczamy się mój przyjacielu niebezpiecznie w codzienność, jeszcze walczymy, ale jak długo ta nasza walka może trwać, jeżeli nawet nikt jej nie zauważa. Opiszmy siebie, później najbliższych i najdalszych, tych opisuje się nam najłatwiej. Zabłądziliśmy Max pośród półek tego marketu. Kiedyś świat porównywano do biblioteki, a teraz do sklepu. Musimy się trzymać razem, łowić kobiety na łące,

odwiedzać wiele sierocińców, aby odnaleźć w nich wyznawców naszych idei. Wchodzimy na ostatnie piętro, na szczęście licytacja jeszcze się nie zaczęła. Starzy retorzy siedzą w pierwszych rzędach, młode wilki kąsają z tyłu. Na ladach sporo szpargałów, wycinki z gazet, umoralniające przykłady z Pisma, których nikt nie czyta. Dzwoni dzwonek, woźni wnoszą kolejne dzieła sztuki użytkowej. Robi się gorąco, ilekroć słyszę o potrzebie sztuki użytecznej dla ludzi, robi mi się gorąco Max, coś jest ze mną nie w porządku. Przestają mnie też wtedy interesować wizje szczęśliwej przyszłości i obrazy marnej terażniejszości. Jestem ponad to, ponownie patrzę w lustro, Narcyz jest coraz starszy i nie może już zachwycić sobą pięknych nimf, ale jak nieco zmieni kąt padania światła i opowie o tym, jak to było dawniej, może jeszcze się jakaś pokusi na jego podobnego do łodygi łopianu członka vel kutasa. Lubię czasami użyć dosadnych słów, lubię słowo „dosadne”. Używając dosadnych słów, odczuwam lekki dreszcz na plecach, tak jakbym przechodził na drugą stronę grzechu, albo przekraczał barierę dźwięku. Sądząc z tego z jaką łatwością czynią to inni, nie jest to chyba normalne mój przyjacielu. Oni jednak nie są artystami, są drobnymi gnojami zagubionymi w buszu wszechświata. Znowu to samo, słowo „gnój”, ile jest w nim niespodziewanej poezji. Nasz sklep jest coraz bogatszy, nasza licytacja nie ustaje. Z sufitu sypią się róże pozbawione kolców, może kiedyś kogoś zabiją i utrwalą w ten sposób nasze przyczepione do płatków, nieudolne twarze.

Na płatkach róż można pisać i malować piękne obrazy. Różę można też włożyć w ryjek prosiaka i upiec całość na wolnym ogniu. Wymyślam nowe zastosowania kwiatów i motyli, chociaż moi bliscy tego nie rozumieją, ponieważ życie przynosi im codziennie poważniejsze problemy. Tak czy inaczej, bez względu na to co byśmy nie robili i tak na końcu dojdziemy do scen symbolicznych i znaczących tylko dla wtajemniczonych. Pisząc to, odnoszę wrażenie, że już to kiedyś pisałem, *déjà vu* wewnątrz tekstu, powtarzalność zdarzeń i rzeczy. Dlatego ucieknę stąd daleko, najlepiej w stronę ogromnej skóry białego niedźwiedzia rozłożonej na podłodze, jej nie poświęciłem dotąd ani słowa. Wszystko jest dzięki niej białobłękitne, trwa nieustanna Północ daleka i mroźna. Stan błogiej przytulności, miękkiego oddania. Powracają wtedy nasze łęki poranne, pośpieszny seks, obrazek z chłopczykiem i dziewczynką pośród wieńca z różowych kwiatków. Mają wałeczki na rączkach i równy oddech podczas snu. Słyszymy kołysankę o świerszczyku i królownie, na ścianach wiszą białe obrazki przedzielone różowymi wstążkami. Łupiny owoców są cienkie i łatwo pękają, sok zalewa nam usta, lepko przylega do rąk stworzonych na obraz i podobieństwo. Przyglądamy się iluzyjnym scenom malowanym przez naszego gospodarza, dziewczynom ulepionym z nasienia i popiołu, sztuce materii, zasłonom ze złotymi frędzlami. Musimy opracować nowy plan zaludnienia całej ziemi, dokładny i stanowczy, przeliczymy wszystkie ziarna i plemniki, złożymy je w wybuchową całość, trafimy po nitkach do każdej osobowości, do każdego łona. Wystarczy już tej samowoli w płodzeniu Max, trzeba to jakoś kontrolować, a my pośród frędzli i kanap pokrytych pluszem będziemy w tym czasie oddawać się umiarkowanej rozpuście. Ktoś musi to robić mój przyjacielu, inaczej zaginie ta odrobina szczęścia, która jest nam niesprawiedliwie dana.

Po nitce do kłębka, po nitkach do cudzej osobowości. Można je wysnuć z niczego, z pustych szuflad, z niezbyt dokładnie spisanych życiorysów, z opowieści o nowej erze, w której wyginą pasożyty i szkodnicy. Sensacja goni sensację, w tym roku najpopularniejsze są powtórki rzeczy już napisanych. Musimy zainteresować niezainteresowanych Max, oni są większością wszystkich rewolucji. Nie giną i nie przeżywają, po prostu są obecni i patrzą w milczeniu spod nabrzmiałych od łez powiek. To oni klaszczą w opuchnięte prawice, oni uczestniczą ostatecznie

w świętach ku czci wszelkich przemian. Są mierzwą i magmą ludzkości, żyją stłoczeni w oficynach, na poddaszach, w suterrenach naszego miasta i musimy ich stamtąd wywabić na powietrze. Będziemy latać nad nimi w kolorowych balonach, rozsiewać confetti, głosić wielkie prawdy przez megafony podłączone do nieba. Na papierowych łańcuchach będą kołysały się wypisy z dzieł mędrców i cytaty z książek kucharskich. Chleb i igrzyska zostaną im dane. Nasze więzienia będą bez krat, kraty zostaną zastąpione przez czas i przestrzeń nie do przebycia. Fikcja zamieni się w realność, realność w śmierć pośród innych śmierci. Złożymy ich na ołtarzu wypełnionym najnowszymi wiadomościami, a sami odpoczniemy w biegu, oczyścimy tablice, ktoś musi zacząć wszystko od początku. I tylko te balony, czy nie przesadziłeś Max, to ich będzie rozpraszać, lepsze są śnieg i pusty las albo kopalnie zamknięte na zawsze. Przypadki i kataryniarze z papugą, która wybiera same szczęśliwe losy, sztuka małą rzeczywistości, rzeczywistość małą sztuki. Nieskończone odbicia luster prześladowujące mnie, ilekroć próbuję sobie wyobrazić drugą stronę ulicy, na której mieszkasz. Rzeczy są puste w środku, ja jestem pusty w środku, wydrążony jak stare drzewo. Mój pesymizm nie pozwala mi zasnąć spokojnie, ktoś musi nazywać się milion, ktoś musi zarabiać w tym domu na życie. Myślenie nie ma przyszłości, a tym bardziej myślenie o myśleniu. Coraz ciaśniejsze kręgi, pierwotny tekst przestaje istnieć i nie wiem, kto pozostaje wewnątrz, kim on jest, kto mu pozwolił decydować za nas, dlaczego nasz sprzeciw nie ma żadnego znaczenia. Wydaje mi się, że jest nas dwóch, stoimy obok siebie, a ulica znika stopniowo za horyzontem. Obaj milczymy, zamierają głosy, pada śnieg zasypując nasze ślady. Być może nigdy ich nie było, być może nie ma nas na świecie Max, kto zatem pisze za nas nasze słowa, kto rozwiązuje wszystkie zagadki i kalambury, kiedy śpimy snem sprawiedliwego. I czy my w ogóle potrafimy tak po ludzku zasnąć. Niepokój jak zawsze, niepokój.

Nasza bezsilność, katastrofizm dla ubogich, dogorywamy leżąc na schodach w pełnym słońcu z czerwonym manifestem w ręku. Tyle złotych myśli idzie na marne, wspólne żony, wspólne mieszkania, wspólna bieda. Obok nas leżą ryby porzucone przez ludzi, którzy postanowili zerwać raz na zawsze z postem. Coraz łatwiej jest opisywać cudzą śmierć, łuszcząc się farbą, brudne korytarze. Wszędzie będzie tak samo, sprawdzianem teorii jest praktyka, sprawdzianem praktyki teoria. Leżymy nadzy, dalej arkady wycięte w kamieniu z wyjściem na szeroki plac, z pomnikiem ustawionym w centralnym punkcie naszego widzenia. Ktoś musiał wygrać, jeżeli ten pomnik tam jest, ktoś zdołał dojść do niego pomimo palącego żaru i płyt chodnika przypominających gorący popiół. Architektura zaczyna śpiewać w momencie upadku, w chwili kiedy staje się ruiną. Słyszę jej głos, jej nie spodziewane piękno. Tylko okna są martwe, zabite deskami i porośnięte mchem. Nad drzwiami wytarte napisy, tędy przeszły całe pokolenia, wizytówki z nazwiskami, których już nie ma. Gdzieś spod bruku wydobywają się ponownie płyty kanalizacyjne z napisami w obcym języku. Nawet kanały należały do kogoś innego. Odpoczywamy pośród smrodu zdechłych ryb, odpowiadamy na pytania, których nikt nie zadał. Max przyniósł naręcza polnych kwiatów, aby zabić ten niepokojący zapach historii i rozda je nieobecny. Nie mogę się zdecydować, w jakim dzieje się to czasie, przeszłym czy teraźniejszym, a może przyszłym.

Mamy za mało czasów, nie możemy obecnie wyrazić czynności przyszłej momentalnej, albo takiej, która wcale się nie wydarzyła. Ubóstwo gramatyki, zakręty codzienności przypominające pustą salę, w której miała się odbyć zabawa noworoczna i nie odbyła się, ponieważ nikt na nią nie przyszedł. Chodzimy po niej w butach, które zamiast podeszwy mają gwoździe. My animatorzy tego co ma się wydarzyć, potrafimy się zatrzymać i wbić nasze

obcasy w materię podłogi. Piszemy w ten sposób traktat pedagogiczny, patrzymy jak hartuje się stal. Trzeba stanowczo określić i jednoznacznie wybrać miejsca, w które wbije się ostrze, napisać kilka opowiadań, najlepiej na święto matki albo rewolucji. Matka wybierze jedno z nich i zamieni je w puderniczkę z pomarańczowym wieczkiem. Kogo wybierze rewolucja, to się dopiero zobaczy. Ludzie będą chodzili ze słońcem w oczach jak w starej piosence, niestety po pozbyciu się słońca ich oczy staną się puste i trzeba będzie wypełnić je gazetową papką albo przesianym przez wiele sit piaskiem. Najważniejsze jest mieć jasną wizję i wyraźne przekonania co do słuszności raz obranej drogi. Droga obrana jak owoce pomarańczy ze skórki, jak jabłka napoczęte przez owady. Przekonania prowadzą nas na miękkiej smyczy do kuchni, w której pali się wielki ogień. Później wieszamy je na ścianie obok świętego obrazka i prosimy kogoś, aby spróbował to wszystko zinterpretować. Obrazy nakładają się na obrazy, słowa na słowa, najważniejsze są złote ramy i smycz wykładana jaszczurem. Poezja przychodzi nad ranem, ma na twarzy maskę, która niekiedy zamienia się w delikatny woal. Jej profil jest stały, wypełniany przez nas coraz to nową treścią. Nie lubi manifestów, lubi lustrzane posadzki nieistniejącego pałacu, suchy dym, ludzi z wpisanej przed laty dedykacji.

Zawsze chciałem zadedykować komuś moją radość życia, blask młodości, niedowagę spowodowaną trudnymi czasami i nienawiścią do kaszy manny. Później dedykowałem smutek i trwogę, przy dedykowaniu obojętności spotykałem się z pełnym zrozumieniem. Dedykacje działały dwustronnie, były podobne do gołębi pocztowych, które oślepienie latały pomiędzy ludźmi, pragnąc odnaleźć właściwych adresatów. Zawsze kochałem też koncerty barokowe wykonywane na drewnianych kołatkach i przy drzwiach zamkniętych na złote klucze. Moja wyobraźnia nie ma granic, nie posiadam też do niej właściwego klucza. Niestety, podczas gdy ja bawiłem się słowami, Max próbował uporządkować swoje życie. Przekrzywił przed lustrem kształtną głowę i starał z okrucichów i powidoków zlepić jakąś sensowną całość. Działała tu siła przyzwyczajenia i chęć pokazania się od jak najlepszej strony. Talizmany, mówił, musimy nosić je przy sobie, są wszędzie, jednak nieliczni potrafią je dostrzec. Pomagają podczas skupienia i podczas rozpraszania, nie ma jak dialektyka i spirale biegnące prosto do Alfy Centauri. Tam musi być jakieś życie. Skupienie niezbędne jest szczególnie podczas wysiadania z tramwaju. Musimy wysiąść w całości, nie możemy zostawić na pastwę byle tramwajarza części naszego ja. Max zawsze zajmował miejsce na przedniej platformie i patrzył w skupieniu na tory biegnące przed tramwajem. Tory prowadzą nas do rzeczy, rzeczy do przedmiotów, przedmioty do podmiotów, podmioty do Boga. Taka jest kolejność transcendencji. Na szczęście rzeczy możemy nosić na szyi pod postacią złotego łańcuszka albo złotych zębów wyrwanych wrogowi na froncie wojennym. Odpadki świata pomagają nam w zachowaniu tożsamości, w przekonaniu, że jesteśmy komuś potrzebni, w dodawaniu sobie powagi i dostojeństwa. Ludzie nadzy nie mogliby sprawować władzy absolutnej. Podobnie ludzie goli i rozebrani. Czy ktoś wyobraził sobie kiedykolwiek gołego Hitlera, rozebranego Stalina czy Mao Tsetunga. Wyobrażam sobie za to niekiedy nagiego Napoleona. To przychodzi mi jeszcze najłatwiej.

Talizman niekiedy pozostawia na naszym ciele ranę albo ślad niespodziewany. Istnienie połączone z cierpieniem. Max zbudował na swój prywatny użytek całą teorię cierpienia. Poprzez cierpienie do gwiazd, cierpienie uszlachetnia, potrafi zbawić od grzechów. Popatrz, mówił, ile wzniosłych spraw związanych jest z cierpieniem i jak mało z brakiem cierpienia. To musi coś znaczyć, być może cierpienie jest bytem metafizycznym i potrafi oderwać

się od konkretnych osób i zdarzeń. Przemierza Kosmos pod postacią tajemnego, niewidzialnego prądu materii i niekiedy spada na niespodziewające się niczego galaktyki. Tak było z naszą galaktykę kilka tysięcy lat temu i od tego czasu nie umiemy się od tego wyzwolić. Jedność w cierpieniu może być zatem jednostkowa i grupowa, jak komunia dziejąca się między ustami i brzegiem pucharu. Termin ten przypomina o kondycji ludzkiej, stanie pierwotnym naszego społecznego „ja”, kiedy cierpienie nie odłączyło się jeszcze od naszej planety, by udać się w inne rejony wszechświata. Najwyraźniej, dzięki przewidywanemu przez nas szczęściu ludzkości, to oderwanie wydarzy się szybciej niż powinno, jednak na razie musimy cierpienie wpisać do naszego programu, taka jest bowiem filozofia dziejów, z którą nie powinniśmy nadmiernie walczyć. Założymy grupy cierpiętników biczących się co rano lekturą oficjalnej prasy, nie będziemy jednak tolerować samookaleczeń i nadmiernych tatuaży. W zdrowym ciele zdrowy duch, wprawdzie cierpiący, ale zdrowy. Kultura fizyczna wyzwala tyle energii, należy ćwiczyć do upadłego lub prosić o więcej cierpienia, które uszlachetnia i nie pozwala zasnąć przedwcześnie. Nie mogliśmy tylko ustalić, czy brak cierpienia jest zaprzeczeniem samego cierpienia. Coś tu było nie w porządku. Jeżeli jest dobro i zło, góra i dół, białe i czarne, dlaczego nie ma czegoś podobnego w stosunku do cierpienia. Przeciwnością braku chleba nie jest ostateczne nasycenie. W ogóle brak jest dziwną kategorią i o ile wiem, trudno jest na nim zbudować porządny system filozoficzny. Ale brak uszlachetnia, mówił Max. Stworzymy ustrój oparty na braku, doskonały i totalny w swej istocie. Wtedy każda rzecz stanie się cenna i nikt nie będzie niczego marnotrawił. Będzie to korzystne dla naszej planety zasypywanej co roku tonami starych majtek, butelek i jednorazowych pieluch. Pielucha powinna służyć wiele lat kolejnym sikającym pokoleniom, inaczej zadusimy się od nadmiaru śmieci i szczurów wyjadających odpadki. U nas szczur będzie rarytasem i dzięki temu nie będzie musiał cierpieć zbyt długo na tym nieszczęsnym, pełnym ugorów, ziemskim padole.

Ból można wywołać na różne sposoby, podobnie jak dobro lub prawdę. Uwielbiam abstrakcje, są takie kuszące i niesprawdzalne zarazem. Ból można wywołać na przykład żyłką albo brzytwą, karabinem lub nożem. Są tysiące narzędzi do wywoływania bólu, cała nauka, boska wiedza, odwieczne zwycięstwo bestii nad pięknem. Niepotrzebne są nawet pieniądze, wystarczy pięść, kopnięcie w krocze, oderwanie ucha, wybicie oka. Max podniecał się coraz bardziej, mówił o piekle, o wiecznym ogniu, który nie pali, ale spala duszę. Pozostaje garstka esencji eterycznej, która nieustannie się odradza. Jest na ten temat wiele teorii, z tą najgłupszą, cielesną i nadmiernie sensualną. Każdy powinien ćwiczyć odporność na ból, aby nikt nie mógł nas nigdy zaskoczyć. Będzie to szczególnie pomocne, gdy dopadną nas nadmiar harmonii i przerost uporządkowania. Wystarczy wtedy wyjąć żyłkę i pociąć nią sobie przeguby rąk albo siedzenie w pociągu lub twarz bliźniego. Po kilku próbach powinno się udać. Przeżycia z tym związane są nie do przecenienia, rytualny seans destrukcji, coraz bardziej ostre ostrze, które na koniec zabija swego właściciela. Jak zwykle opowieści, które wkradają się podstępnie do mózgu i później nie dają nam spokoju. Walczymy z tym, ale nie zawsze się udaje. Podlegamy wtedy podwójnej presji słów, które muszą znaleźć ujście na strony nie napisanych książek. Co się z nami stanie w momencie, kiedy rzecz ujrzy światło dzienne, czy się nie przerażą tym światłem, podobnie jak talizman, którego nikt nie nosi? Linijki słów zyskują wymiar przestrzenny, wypełniają na kartki papieru zwartymi szeregami. Próbuje je podrzucić do góry, rozsypać i połączyć na nowo, wrzucić do przerebli, aby nabrały lisiego koloru. Widzisz Max, lisi kolor, co za bzdurne pomysły, papier przyjmuje wszystko, jest spokojny i cierpliwy jak Rosjanie. Dlaczego Rosjanie? Bo są spokojni

i nieskończenie cierpliwi. Dlaczego są nieskończenie cierpliwi? Bo przecierpieli wiele i nie mają innego wyjścia. Zawsze jest jakieś wyjście. Ale nie dla Rosjan.

Aktualizacje nie mają sensu. Geografia nie ma sensu. Euroazja nie ma sensu. Na naszych oczach powstaje nowy, rozgrywający się w kapslach po butelkach typ dialogu. Wędrujemy z Maxem wokół dawno zrujnowanego stadionu chcąc osiągnąć stan doskonałej samotności. Puste trybuny nastrajają nas melancholijnie. Skrzypią zardzewiałe bramy, bieżnia przypomina wytarty ręcznik. Ptaki zakładają gniazda i ćwiczą się w lataniu, resztki trawy starają przetrwać do jutra. Obraz upadku i degrengolady, mówi Max, a miało być tak pięknie. Pamiętam, jak kibicowaliśmy tutaj naszej drużynie, jak wylatywały w niebo poduszki, a krzyk szczęśliwych ludzi sięgał aż do najwyższych chmur. Ciągłe musimy włączyć w miejsca opuszczone i niepotrzebne już nikomu. Nasz pesymizm karmi się nieustannie widokami, które powinny się niedługo przeistoczyć i zmienić. Używam podwójnych, wzmocnionych określeń, aby podkreślić rangę moich słów. Zauważyłem, że wewnętrzny rytm dobrze robi naszej sprawie. Poetyka marszu, wspólnego przejścia ponad śmiercią jest tak optymistyczna. Na drewnianych ławkach ktoś pali stare gazety. Okruchy dymu lecą jak spadochrony ku górze, otwierają się i nikną wykorzystując każdy podmuch wiatru. Nam nie jest potrzebny popiół, musimy wykorzystać iskry, zarzewie, podpałki, wzniecić pożar i doczekać do świtu ludzkości. Na razie gryziemy dropsy wypełnione miętą i czosnkiem. Mięta jest dla smaku, czosnek dla zdrowia. Idealne połączenie, jak młodości z urodą. Dozorcy stadionu śpią snem sprawiedliwego. Pracują w nocy, w dzień muszą się wyspać. Na szczęście śpią też ich psy, inaczej nie moglibyśmy tak swobodnie spacerować po trybunach i po opuszczonej bieżni. Niedługo złączą się zawody niepełnosprawnych. Im wystarczy taki śmietnik. Dołączymy do nich, ponieważ zawsze jesteśmy po stronie upośledzonych i prześladowanych przez los. Max będzie biegł na czele w swojej obcisłej bluzeczce, ja za nim, jak stalowa pantera. Cienie trybun będą się kładły delikatnie na naszych torsach. Dobry przykład i bicepsy napięte do granic możliwości. Później pójdziemy na wojnę i będziemy walczyć o wolność i demokrację lub coś podobnego. Liczy się sam start, a nie wynik, albo odwrotnie. Kocham osiągać dobre wyniki nic nie robiąc, niech robią to za mnie inni, ale czy oni będą potrafili robić nic. Nasz język jest taki dziwny, podwójne zaprzeczenia, gra w zabijanego. Bawimy się nim w akcie leksykalnego samogwałtu. Zapada zmrok, nad nami zapada zmrok, oczekujemy zbawienia od grzechu pychy i chciwości. Musimy powściągnąć nasze ambicje, przynajmniej do rana, kiedy zaświeci nowe słońce i ktoś pozbiera wszystkie kapsle i puszki po piwie.

Jak mówiłem, nie wyniki się liczą, ale sam start, cel uświęca środki, ruch jest, przypominam, wszystkim, cel niczym. Tak rozmawiamy sobie przy piwie, sącząc z wolna cienkusz kredą zabelany. Mój śmietnik wewnętrzny nie ma końca, przypomina starą pianolę, naciskasz jeden klawisz, a odzywają się tysiące w sposób całkowicie nieskładny i nie pozbierany. Komu chciałoby się zbierać klawisze, komu biegać po zużytym asfalcie, po alejkach wokół naszego stadionu. Nie mamy biletów wstępu, tak naprawdę mamy bardzo mało, jesteśmy ubodzy i cisi, nasze będzie królestwo niebieskie, nasze nieustanne święto. Wracajmy do domu Max, urządzimy sobie w nim niedużą bieżnię, najbardziej lubię trójskok i nie ma w tym żadnych politycznych podtekstów. Tutaj nie musimy się z nikim ścigać, leżymy sobie na kanapie jak prawowici burżuje, odpoczywamy, gryziemy orzeszki ziemne. Czy w twoich czasach były orzeszki ziemne? Pewnie były ale czy je pogryzałeś leżąc na kanapie? Nie jestem pewien. Były na pewno orzechy włoskie i laskowe, ale ziemne raczej nie. Lubię też masło kakaowe i masło do opalania. Drobne przyjemności, które pomagają nam żyć pełnią życia. Pomieszaliśmy nieopatrznie dzień z nocą, powstał z tego jeden zmierzch i kilka pór roku. W piśmie wszystko może zostać pomieszane, okruchy, trociny, białe noce,

strumień świadomości, jeziora pamięci, morza zapomnienia, tego jest najwięcej. Gramy w nieistniejącą grę liczbową, algorytmny czasu układają się pod naszymi palcami jak srebrne węże. Dążymy do obrazu, z nizin na podium, z ziemi do nieba, Po nakrytych zielonym suknom stołach toczą się białe bile. Jedna z nich wygrywa, ale nie wiemy która. Najprościej jest przerwać sukno, połamać kije, wyjść stąd na zawsze. Boimy się spóźnić, przez to wszędzie przychodzimy za wcześnie. To nie ma sensu, introspekcja pokryta kurzem, nadmiar blasku nad ranem. I tak nie wygramy, ale Max, przynajmniej wzięliśmy udział. Czołówka uciekła i biega dalej wokół stadionu. Szczęśliwie udało nam się wyrwać, odejść w stronę naszej sztuki, której nikt nie rozumie. Podajmy sobie dłonie nad stołem, i zasiądźmy do uczty. Druga strona medalu też do czegoś zobowiązuje.

Przechodzimy do świata wypełnionego tabelami. Wykresy piętrzą się niebotycznie, produkcja wzrasta, króliki mnożą się nieprzytomnie. Nasza moralistyka wypełniona słowami „winien” i „ma”. Zawsze chciałem być księgowym Max, do księgowych należy przyszłość. Nadal boimy się spóźnić na pociąg odjeżdżający z drugiego peronu. W tle stacji palą się znicze i z daleka widoczne jest podium dla zwycięzców. Musimy z wolna kończyć naszą opowieść, ponieważ udało nam się stworzyć *perpetum mobile* i na nic więcej już nas nigdy nie będzie stać. Język wiedzie nas w różnych kierunkach, prowadzi za rękę jak dziecko. My z tyłu za autobusem z napisem koniec. Najważniejsze, że dzięki mądrości kobiet ludzkość doskonali się genetycznie. Jesteśmy coraz piękniejsi i mądrzejsi, doskonalsze są też narzędzia zbrodni i tortur. Nie można wprawdzie zawsze wygrywać, ale jak na razie nasze będzie za grobem zwycięstwo. Nad nami świecą się ostatnie neony przypominające tęczę. Po raz kolejny żegnamy się z antenatami. Spróchniałe kości opalizują w ciemnościach. Musimy podporządkować się regułom, rewolucje zbyt często zjadają własne dzieci. Niepokoi mnie nadmiar rymu we współczesnej poezji, lubię rytm i pruskie wojskowe marsze słuchane pod kieliszeczek dobrej wódki. Zauważyłem Max, że coraz jest nam bliżej do rezydencji oplecionej dzikim winem, domu marzeń, kobiet o wydatnych biustach. Starzejemy się mój przyjacielu, nasze łuki wygięte są w drugą stronę, nasze cięciwy wytarte od częstego używania. Nie jest łatwo odejść z miejsc, w których się nigdy nie było. Trzeba uruchomić maszynę wyobraźni, wyostrzyć zmysły, zapiąć wszystkie guziki. Zauważyłem, że tekst potrafi człowieka wodzić za nos, wyprzedzać go o kilka długości i poganiać twardą dyscypliną, śmiać się z autora i uwodzić mu żonę. Nie bardzo wiadomo, co z tym robić, najlepiej zasnąć albo wyjechać do ciepłych krajów, tam gdzie nikt nas nie widział i pewnie nigdy nie zobaczy.

Zostaniemy Max tu na miejscu, w czasie elekcji podniesiemy wysoko nasze karty. Trójka, siódemka, as, pamiętasz, rozłożymy nasze rzeczy jak najszerzej, zajmiemy jak najwięcej ziemi pod nogami. Nie czujemy gorąca ani chłodu, w każdej iskrze można znaleźć kawałki cegły przepalanej zapałem mas. Będziemy napełnieni ożywczymi płynami aż do bólu koniuszków palców. Będziemy spowiadać się przed Historią z naszego milczenia i naszego nadmiaru słów. Będziemy na koniec prosili o papierosa, o telefon do umiłowanych braci. Zawieszeni przed naszymi wyznawcami, będziemy walczyć przez chwilę z grawitacją, albo umrzemy w łóżku, jak na prawych rewolucjonistów przystało. Łóżko będzie ogromne, zbite z nieheblowanych desek, z licznymi nałożnicami masującymi nam stopy. Dodamy rytm rozkołysanego księżycy i skąd w nas tyle niepokoju, skąd przebudzenie wśród katów i ofiar. Będziemy patrzeć na własne ręce, sprawdzać temperaturę własnej i cudzej krwi, dygot błękitnych czułych nerwów. Nasze stare zegarki przestaną chodzić, naprężone struny pękną, zacznie się prawdziwa zabawa. Bunt stanie się niemożliwy, proletariat połączy się raz na zawsze, powstaną liczne doktoraty i ucze-

ni mężowie pochylą nad naszym doskonałym bełkotem. Przedmiot wnuknie do podmiotu i odwrotnie. Przejście przez ogień będzie równie ożywcze jak przejście przez błoto.

Odpocznijmy, zmęczyliśmy się Max tym wymienianiem, powróćmy do naszej biblioteki, zapamiętajmy imię swoje, połóżmy się obok siebie, aby zapomnieć, że nadal mamy wzrok i słuch, a nasz dotyk działa jak rozżarzony snop węgla. Gubię się w kolejnych domysłach i dowodach na to, że istniejemy. Jesteśmy już na zawsze zdani na łaskę przechodniów. Rzućcie grosik panie na papugę i kartki z losami. Mamy wiele kolorów, nie mamy papugi, pomalujemy wróbla, przeistoczmy go w najpiękniejszego ptaka i pożeglujemy w nieznaną jak Pierrot i Colombina, wywyższeni ponad komedię poklasku, smutku i nadziei.

KONIEC

22 sierpnia 2015